

LUDWIK BŁYSZCZAK

Gwiazda Marcina

i inne opowiadania



Copyright © 2021 Ludwik Błyszczak

Tomik ten jest darmowy. Może być kopiowany i prywatnie odczytywany tylko jako ten plik PDF. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany dokonywane w tym pliku. Udostępnianie tego pliku poza stroną autora, drukowanie całości lub części oraz publiczny odczyt zawartego w nim tekstu może się odbywać wyłącznie za zgodą autora.

Osoby lub firmy zainteresowane sponsorowaniem wydania tomiku w wersji książkowej – proszone są o kontakt z autorem.

E-mail: blyszczak@os.pl

Strona autora

◦ PDF^LA^TE^X ◦

Spis treści

Zielona latarnia	2
W poczekalni	4
Pod gwiazdami	11
Dom wśród topoli	14
I.	14
II.	20
III.	30
Szalik	35
Na plaży	39
Uśmiech Weroniki	41
Pierścionek z koralem	43
Miłość Kingi	53
Srebrna papierośnica	61
Pod mostem	65
Gwiazda Marcina	70
Brygida	76
Deszcz	79
Klara	82
Grudniowa noc	86
Ostatnie spotkanie	90
Wędrowiec i oliwka	95

Zielona latarnia

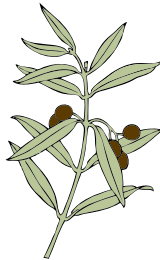
W dużych oknach wrześnieowy wieczór niepostrzeżenie przeistacza się w noc. Przy nich stoi ciężkie dębowe biurko, a na nim jaśniej lampka o połączonej podstawie i bursztynowo-zielonym abażurze. W jej świetle siedzi kobieta o siwych włosach upiętych w ładny kok i pisze na maszynie. Kiedy księżycowa poświata zaczyna wlewać się przez szyby, przykrywa maszynę pokrowcem, podnosi z dywanu kota i, czule go tuląc, siada na wielkiej skórzanej kanapie. W pokoju zapada cisza rozświetlona wymieszanymi blaskami lampy i księżyca. Po chwili wydaje się, że czyjkolwiek obecność przestaje tutaj istnieć.

Czy naprawdę minęło już ponad sześćdziesiąt lat, odkąd po raz ostatni widziała się z Henrykiem? Gdy się zapoznali mieli po siedemnaście lat. Nie mogli uwierzyć, że nie są bratem i siostrą – tak byli podobni w sposobie patrzenia na świat, a wyjątkowo łączyło ich to, iż obydwójce pragnęli zająć się w życiu pisaniem. Zafascynowani sobą, przechadzali się po łąkach otaczających jej miasteczko i, chcąc wypróbować swój talent, opowiadali sobie nawzajem rozmaite historie – zaczątki ich przyszłych książek. On starała się opowiadać realistycznie o najbliższym jej świecie. On przemierzał ocean fantazji. Popychany wiatrem wyobraźni, niby szukający przygód żeglarz, odkrywał wspaniałe baśniowe królestwa. Nigdy przedtem podobnych baśni nie słyszała. Ale prawdziwy podziw, a i sporą zazdrość wzbudzał w niej tym, iż jego opowieści, mimo że w pełni rządziły się własnymi, baśniowymi prawami, były w jakiś przedziwny sposób splecione ze zwyczajnym, realnym życiem. I to bardziej splecione niż jej realistyczne opowiadania. Skąd on to miał? Czy chodził do starych, mądrych ludzi, którzy z głębin życia potrafią wysnuwać całe światy bajek? Czy stwarzał wszystko z niczego? Z jakiego czerpał źró-

dła? Uśmiechał się ciepło, promiennie, i mówił, że po prostu wsłuchuje się w gwiazdy, bo one najlepiej znają ludzkie losy i wiedzą, jak z losów tych wyplatać baśnie. Lecz jakże tu, na ziemi, można usłyszeć i zrozumieć mowę gwiazd? Zdumiewała się. Tłumaczył, że do tego potrzebna jest szczególna właściwość duszy – swoiste duchowe zwierciadło, w którym, niby w tafli spokojnego jeziora, może się odbijać rozgwieżdżone niebo.

Na progu dojrzałej młodości rozdzieliła ich brutalna burza historii, dla której dwoje kochających się serc jest tyle samo wartych, co dwa płatki róży dla oceanicznego sztormu. Głęboko wierzyli, że po niej znowu się odnajdą. Lecz gdyby los przedłużał rozłąkę, książki, które napiszą, pomogą im się spotkać tak jak morskie latarnie pomagają się odnaleźć zagubionym rybakom.

Upłynęły dziesiątki lat. Włosy posiwiały, pomarszczyły się dłonie, a jego latarnia nie zapłonęła. Dlaczego ona ciągle wierzy, że gdzieś, kiedyś, natrafi na gwiazdną baśń, którą tylko Henryk mógł napisać? Ale czy mogłaby przestać wierzyć? Wiara jest dla nas tym, czym dla żeglarza wolna przestrzeń. A zazwyczaj pragną nasze serca tej przestrzeni na zawsze.



W poczekalni

O tej porze nocy ruch wewnątrz budynku stacyjnego był nikły. Mężczyzna w szarym ortalionowym płaszczu stał pośrodku równie szarej kamiennej posadzki i patrzył na żółto-czarno-czerwoną tablicę informacyjną, która niczym lśniąca mozaika rozciągała się pod sufitem. Jeszcze nie przywykł do nowego rozkładu. W prawej ręce trzymał czarną skórzaną torbę. Znajdowały się w niej papiery, które bezpośrednio łączyły się z pracą, jaką wykonywał i jaka w poważnym stopniu przesączała się do jego domowego, samotniczego życia. Był niskiego wzrostu. Nieuchronnie zbliżająca się pięćdziesiątka zdążyła już uwypuklić mu brzuch. Głowę miał stosunkowo dużą i okrągłą. Rzadkie rudawe włosy otaczały jego niewielką łysinę, która jakoś od wielu lat nie chciała się ani zwiększać, ani zmniejszać. Ponieważ oczy miał drobne i szare, o prawie niewidocznych brwiach i rzęsach, a wargi niemal stapiały mu się z chropawą skórą, zasadniczą cechą jego twarzy był nos – wielki, łagodnie zaokrąglony i pulchny. Ten nadmiernie charakterystyczny nos przyprowadził go od wczesnej młodości o mnóstwo osobistych kłopotów. Z czasem się do niego przyzwyczaił tak jak można się powierzchownie przyzwyczaić do własnego nazwiska, którego się nie znosi.

Wreszcie odczytał z tablicy poszukiwaną informację. Będzie musiał czekać długie trzy kwadransy, zanim wsiądzie do swojego pociągu. A na dworze wstrętna pogoda. Dżdżyste, przesycone mgłą powietrze lepilo się do twarzy. Odruchowo – ostatnio te odruchy okazywały się coraz bardziej celowe – spojrzął na swój stary niemiecki zegarek, podarunek od matki na osiemnaste urodziny. No tak. Znowu się spóźnił. Czemu dotąd nie kupił nowego? Spokojnie go wyregulował według zegara dworcowego i dziwnie miękkim krokiem skierował się do poczekalni.

Nie czuł się dobrze. Miał wrażenie, że wszystko porusza się w nim opornie i nieskładnie niczym w rozregulowanym mechanizmie. Być może kolejny gwałtowny spadek ciśnienia atmosferycznego rozstroił mu słabe krążenie. Zeszedł po krótkich, stromych schodach i znalazł się we wnętrzu, które proporcjami przypominało olbrzymie pudełko od zapalek. W wąskich okienkach pod niskim stropem czerniała noc. Dwie ćmy zaciekle latały przy jarzeniówkach. Strop wsparty był na kilku grubych kolumnach, między którymi stały długie, solidne, drewniane ławy. Zarówno kolumny jak i ściany były na całej powierzchni wyłożone prostokątnymi, białymi i niebieskimi, ceramicznymi płytkami. Te białe niebieskie, szkliste, zimno połyskujące prostokąty kojarzyły mu się zawsze z czymś nieprzyjemnym i łączącym się z jakimiś martwymi, nieuchwytnymi, zaprzyszłymi wspomnieniami. Rozejrzał się po ławach i, jak mu się wówczas zdawało, nie dostrzegł nikogo. Usiadł tuż przy środkowej kolumnie, poprawił zagiętą połą płaszcza, a torbę położył obok siebie z prawej strony. Gdy tylko parę razy odetchnął głębiej i rozluźnił nogi, poczuł duszność i chłodny pot na czole. Poszerzył krawat, kołnierz koszuli i przez chwilę oddychał otwartymi ustami. Duszność minęła. Miesiąc temu był u lekarza. Nie bez satysfakcji przebadano jego klatkę piersiową. Typowy przypadek. Ofiara postępu cywilizacyjnego. Ma za wszelką cenę unikać stresów, ma zwiększyć ruch na świeżym powietrzu i do minimum ograniczyć wszelkie używki, a odżywiać się przede wszystkim warzywami i owocami. Plastycznie wyobraził sobie swoje serce poruszające się pod żebrami jak niewolnik z łańcuchami na nogach, ujrzał w wyobraźni ruch własnej krwi płynącej z trudem przez chorobliwie zwężone żyły i poczuł do tego wszystkiego obrzydzenie. Po diabła myśleć o swych wnętrznościach? Znowu poluzował krawat. Teraz mimowolnie wyłowił z pamięci dyrektora Guca, z którym łączyła go wieloletnia znajomość, a który niedawno zaskoczył wszystkich śmiertelnym zawałem. Miał wspaniały świecki pogrzeb. Schorowana żona i dwaj dorośli synowie stojący nad jego grobem mieli co prawda wilgotne oczy, ale na ich twarzach dominowało bolesne zdziwienie. Zresztą mniej lub bardziej zdumieni byli wszyscy obecni na cmentarzu. Przecież dyrektor Guc nie pił, nie palił, nigdy nie był zgryźliwy, przygnieciony kłopotami, a twarz miał zawsze rumianą, gładką... A na pewno on sam byłby najbardziej zdziwiony, gdyby się dowiedział, że niebawem umrze. Jednak z pewnością spodziewałby się, że zostanie pochowany w dyrektorskim granitowym grobowcu i że przyjdzie go pożegnać spory tłumek. Tutaj mężczyzna w szarym płaszczu zastanowił się nad tym, jak też mógłby wyglądać jego własny pogrzeb. Przyjdą znajomi, koledzy z pracy, zjawią się nieliczni krewni. Koledzy przyniosą chryzante-

my, krewni kupią szeleszczący wieniec z plastikowymi liliami. Na szczęście, niedaleko mieszka łysiejąca kuzynka, która zajmie się trumną i wszystkim innym. Nie miał złudzeń. Tylko drobna część żegnających jego doczesne szczątki przyjdzie naprawdę ze względu na niego, aby się pożalić, że właśnie on umarł. Większość przybędzie przez wzgląd na siebie, żeby odnowić świadomość i wyżalić się, że nieodwołalnie, wcześniej czy później, każdy z nich znajdzie swój ciasny dół w ziemi. Może gdyby miał żonę, dzieci... Ale zawsze jakoś unikał bliższych znajomości z kobietami. Dlaczego? Chyba w głębi duszy się tego obawiał, czuł lęk przed odpowiedzialnością, rozczarowaniem... Mógłby jednak zaryzykować i zgodnie z pragnieniem matki założyć rodzinę. Chociażby po to lub przynajmniej po to, żeby miał kto stać najbliżej jego świeżego grobu i szczerze pochyłać głowę. Ale czy to jest takie ważne? Najważniejsze, że będzie pochowany przy matce. Przywołał myślami obraz miejsca jej wiecznego spoczynku. Gliniasty kopczyk porośnięty rojnikiem i naznaczony drewnianym krzyżem. Gdy chował matkę, zarabiał nawet więcej niż obecnie i mocno postanowił, że jak najszybciej postawi jej granitowy pomnik. Z czasem to postanowienie nieco przybladło, z czasem przestało być mocne, jeszcze później zmieniło się w możliwość, wreszcie sama możliwość skurczyła się i znikła, a jedynie rojnik pokrył spękaną glinę... Zmarszczył czoło. Nikt mu już nie zrobi kamiennej płyty, więc najprawdopodobniej również nad nim rozplenią się takie same rozetki rojnika... O czym u diabła myśli? Czyżby od tej rozlazłej pogody zaczynał idiociec? Potarł brwi i odetchnął głęboko, jakby się ocknął z męczącego snu. Zawsze uważał siebie za człowieka na tyle rozsądnego, by unikać zastanawiania się nad sprawami śmierci. Bo czyż takie rozmyślenia dają jakieś logiczne rezultaty? Czy tego chcesz, czy nie, urwie się kiedyś twój film. Po cóż przejmować się nicością? A tym bardziej po co się martwić o wygląd własnego grobu? Minie kilkadziesiąt lat od pogrzebu i wśród twojego próchna spocznie nowa trumna z nowym nieboszczykiem. Zatem najrozsądniej ze spokojnym zniewoleniem albo z pogardą zaakceptować nieuchronność końca. Spróbował się uśmiechnąć do tego wniosku, ale tylko poczuł drażniące kropelki potu na czole i nosie. Otarł je wierzchem dłoni. Matka była katoliczką. Może lepiej byłoby mu wierzyć? Nigdy nie wyróżniał się jakąś poważną religijnością, a na studiach resztki czegoś w rodzaju wiary rozsypały się w nim zupełnie. Spojrzał na zegarek. Nie upłynęło jeszcze dziesięć minut, odkąd tu wszedł. Podrapał twardy naskórek kciuka i, aby wyprostować szyję, podniósł twarz. Wówczas dopiero spostrzegł z pewną ulgą, że nie jest sam pośród tych bezdusznie lapidarnych ław i wykafelkowanych powierzchni.

Blisko szklistej ściany siedziała kobieta w niebieskim swetrze i w niebieskich spodniach. Wydawała się tak zamyślona, że nikogo i niczego nie dostrzegała. Mogła mieć nie więcej niż czterdzieści lat. Na jej drobnej, śniadej twarzy mocno połyskiwały duże brązowe oczy o brwiach zaznaczonych delikatną, szlachetnie łamaną linią. Równie szlachetna linia cechowała wąski nos i wąskie czerwone wargi. Kąciki ust, jakby czymś obciążone, z lekka opadały, tworząc dwie pionowe fałdy. Matowe czarne włosy gęstymi loczkami przylegały do głowy. Zgięte w łokciach ręce trzymała na brzuchu. Małeńkie zmarszczki niby misterna siateczka okrywały jej długie palce. Zdawało mu się, a może tak było rzeczywiście, że jej tułów nieznacznie kiwa się do tyłu i do przodu, sztywny jak z drewna. Po chwili wydobyła z torebki chusteczkę i przyłożyła ją do twarzy. Plecy jej straciły swoją drewnianą sztywność, nieco się przygarbiły i zaczęły miękko drgać. Równocześnie dał się słyszeć słaby płacz. Nogi przysunęła bliżej siebie, ustawiając je trochę na ukos z równiutko ułożonymi stopami i kolanami.

Kiedy ostatnio jakaś kobieta płakała w jego obecności? Dokądkolwiek powędrował pamięcią, wszędzie napotykał dziwną pustkę. Dopiero w dwudziestokilkuletniej głębi przeszłości odnalazł dzień, w którym widział płaczącą matkę. To zdumiewające, że w jednym momencie może się odnaleźć zdarzenie, które – zdawałoby się – bezpowrotnie utonęło w niepamięci. Dokładnie przypomniał sobie, jak matka płakała. Siedziała na niskim stołeczku przy zlewie i starannie, niemal automatycznymi ruchami, obierała ziemniaki. Parokrotnie wchodził do kuchni i szperał w szufladzie z narzędziami, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie miał nic do roboty. Ani razu nie podniosła oczu i ani razu nie otarła łez, które leniwie spływały wciąż tymi samymi mokrymi śladami po przedwcześnie starzejących się policzkach. O ile dobrze pamiętał, jak płakała, o tyle dość mgliście sobie przypominał powód jej płaczu. Był już wtedy mężczyzną i coraz gorzej rozumiał matkę, a raczej chciał jakoś mocniej zaznaczyć swoją niezależność. Tamtego dnia powiedział jej coś tak oschłego czy pogardliwego, że uderzyła go w twarz. Nigdy przedtem i nigdy potem tego nie zrobiła. Z jakimś dziwnym, smutnie gorzkim wyrazem twarzy milczała do kolacji. On również się nie odzywał. Nazajutrz wszystko potoczyło się zwykłym, ciepłym i serdecznym trybem. Matka traktowała go nawet z większą serdecznością, ale wyczuwało się w tym już pewien smutnie ironiczny dystans. Czasami, gdy zmęczony po pracy jadł obiad, głaskała jego sztywne i bardzo już wówczas rzadkie włosy. Dotyk ten był tak delikatny, iż wydawało się, że emanujące ciepłem palce jedynie przesuwiają się nad jego głową, muskając gdzieś tam końce włosów. Zdumiał się, a po plecach prze-

szedł mu dreszcz. Oto znowu, po tylu latach zapomnienia, czuł przejmujące, bliskie ciepło matczynej ręki. Było to tak niezwykle, jak gdyby morskie fale wyrzuciły na skaliste wybrzeże jakiś zupełnie nie uszkodzony element statku, który zatonął przed wiekami.

Znów spojrzął na zegarek. Czas najwyraźniej nie nadażał za jego myślami. Siedząca przy ścianie kobieta nadal cicho płakała, przykładając do twarzy pomiętą chusteczkę. Była jeszcze bardziej skulona i zgarbiona, lecz owo skulenie i zgarbienie było raczej wewnętrzne niż zewnętrzne, raczej wyczuwalne niż widzialne. Poczul się nieswojo. Jakieś nieprzyjemne, swędzące przygnębienie wezbrało mu w gardle. Zawsze się irytował na widok płaczu i zupełnie nie umiał sobie z tym poradzić. A przecież starał się uchodzić za mężczyznę odpornego na wszelkie irytujące wzruszenia. Parę lat temu, gdy u jego sąsiadów było płaczliwe dziecko, omal nie dostał rozstroju nerwowego.

Rozejrzał się. W poczekalni nie było nikogo prócz niego i płaczącej kobiety. Wystarczyłaby obecność niewielkiej grupy ludzi, a zareagowałby z mniejszymi emocjami. Najchętniej by teraz wyszedł na peron, lecz nogi mu jakby zwiotczały od kolan w dół i po prostu nie mógł wstać. Może było to tylko złudzenie i podniósłby się, gdyby spróbował. A zresztą, po co ma już wychodzić na tą okropną wilgoć? Do przyjazdu jego pociągu zostało trochę czasu. Jednak wziął swoją torbę, położył ją sobie na kolanach, potarł szorstką dłońią, chwilę potrzymał i znowu odłożył. Z nowej paczki wyjął papierosa, obrócił nerwowo w palcach, zapalił i krótko się zaciągnął. Poczul lekką ulgę. Urywany, matowy płacz był coraz ciszy, chwilami prawie zamierał jak gasnąca świeca, ale i tak zdawało mu się, że od tego płaczu nieznośnie faluje powietrze. Ponownie się zaciągnął. Kobieta gniotła zwiniętą chusteczkę w ręce, a jej gęste rzęsy zlepione łzami lśniły przy najmniejszych poruszeniach. Co go to wszystko obchodzi? Naprawdę powinien teraz odejść. Jakby na potwierdzenie, ochryplym, metalicznym głosem odezwały się stacyjne głośniki zapowiadając jego pociąg. Natychmiast wyrzucił papierosa, zgniótł go butem i sięgnął po torbę. Jednak nadal jakoś nie potrafił ruszyć nogami i bezradnie siedział. A to co? Do poczekalni wszedł może ośmioletni chłopiec. Zarówno spod rękawów jego seledynowej kurtki, jak i spod nogawek granatowych spodni wylaniały się skrawki bladobłękitnej piżamy. Od razu zwracał uwagę swoim podobieństwem do kobiety w niebieskim swetrze. Miał podobne, czarne, gęste loczki, podobnie śniadą cerę i podobnie, chociaż jeszcze dziecięco zaokrąglony, szlachetnie kształtny nos. Tylko brwi nad brązowymi oczami były u niego nakreślone grubiej i bardziej stanowczo. Kobieta siedziała tyłem do drzwi i nie zauważyła wejścia chłopca. Już nie płakała.

Ścisnęła jedynie chusteczkę, której biel uwydatniała oliwkową barwę palców. Podbiegł ku niej od tyłu. Z dziecięcą naturalnością i łagodnością objął za szyję, przytulając się tak, że przylgnął policzkiem do jej policzka.

– Mamuś! Wiedziałem, że tu będziesz! – odezwał się radośnie i zarazem z jakąś poważną nutą. – Wiedziałem, że nigdy byś nas nie zostawiła – dodał i w mgnieniu oka przekręcił się na ławie, siadając równiutko przy boku kobiety.

– Ależ mnie wystraszył – westchnęła i zatopiła palce w jego gęstych loczkach.

– Nie mogłem wytrzymać. Musiałem do ciebie przyjść.

– Niemądry drań – rzekła z łagodnym wyrzutem. – Żeby w nocy wybiegać z łóżka na ulicę. A czułam, że nie śpisz...

– Wiem. To brzydko podsłuchiwać. Przytuliłem się do poduszki, nakryłem na głowę, ale nic nie pomogło – usprawiedliwiał się miękkim głosem. – Więc troszeczkę uchyliłem drzwi i słuchałem. I potem tak mi się zrobiło żal, że tak sama wyszłaś z domu...

– On nie zauważył, jak wychodziłeś?

– Wyszedłem cichutko. Tato był w swoim pokoju i nic nie widział.

– Niemądry, mały drań. Czy nie rozumiesz, jakie to nierozsądne? W nocy, w chłód i deszcz wyskakiwać z pościeli i wędrować przez miasto?

– Deszcz już dawno nie pada...

– Przyrzeknij, że więcej tego nie zrobisz.

– Jasne, mamu... Przebacz. Ale chcę o coś zapytać.

– O co? – uśmiechnęła się, widząc, jak w jego oczach mieszają się ze sobą dziecięca powaga, nieśmiałość, pokora, ufna śmiałość i tworzą niepowtarzalną, trochę śmieszniejszą harmonię.

– Czy wy już naprawdę nie chcecie się zwyczajnie pogodzić? – rzekł smutnie.

W jakimś dziwnym, chwilowym skurczu lekko ściągnęła brwi, aż między nimi ukazała się zmarszczka.

– Chodźmy już do domu – powiedziała. – Zrobię ci gorące kakao i zaraz uśniesz.

– Mamuś... Tato nie jest taki zły. On cię kocha po swojemu. Wcale nie mówił prawdy, kiedy gadał tamte rzeczy.

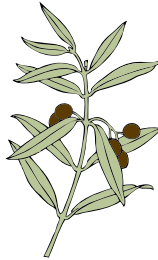
– Jakiej prawdy? Pewnych spraw nie możesz jeszcze zrozumieć.

Podniosła się z ławy, w lewą rękę wzięła parasolkę i torebkę, a w prawą ujęła dłoń chłopca.

– Tato nie umie mówić wprost, że cię kocha, i czasem gniewa się, że tego nie rozumiesz – tłumaczył jeszcze, kiedy wychodzili z poczekalni.

Mężczyzna w szarym płaszczu posiedział chwilę w zupełnym bezruchu, z głową pochyloną z lekka na bok, wciąż jakby zasłuchany, po czym wyszedł ociężałym krokiem na zimny i wilgotny peron. W ostatnim momencie zdążył wsiąść do pociągu.

Cały następny wieczór zajmował się papierami, które przywiózł w torbie. Spocony garbił się przy solidnym, przedwojennym biurku, odziedziczonym po dziadku adwokacie, i skrupulatnie wypełniał, sprawdzał, poprawiał, skreślał... Nagle wypuścił z rąk papiery i ciężko spoczął na skrzypiącym oparciu krzesła. Zdjął swoje śmieszne, druciane okulary i dwoma palcami potarł zwilgotniałe oczy. Nie... to na pewno nie łzy. To do niego niepodobne.



Pod gwiazdami

Po kolacji Magdalena poszła na spacer z Nilem – wielkim owczarkiem babci. Wieś, zmęczona upalnym dniem, powoli cichła i zasypiała. Świeżo otynkowane ściany kościółka miękko jaśniały w zapadającym zmierzchu. Pozostawiwszy daleko za sobą ostatnie zabudowania, otoczona polami i łąkami, odpięła psa ze smyczy. Rozradowane zwierzę dało natychmiast nura w pachnącą trawami przestrzeń, zrobiło kilka szerokich okrążeń i zdyszane wróciło z wywalonym, zaślinionym językiem. Na niebie, jedna po drugiej, zapalały się gwiazdy, a powietrze coraz bardziej stygło i wilgotniało od nadciągającej nocy.

Przy skrzyżowaniu polnych dróg stała kamienna, może stuletnia kapliczka. Na jej spękanych dachówkach pęczniały grube poduszki mchu i rosły kępki turzyc. Znalazł w niej schronienie drewniany, siedzący w zamyśleniu Jezus. Przez dziesięciolecia powtarzające się ulewy, śnieżyce i letnie skwary już prawie wytrawiły mu twarz. Jedyne ocalały małe usta i długi nos. Teraz jednak, w gęstniejącym półmroku wapiennej wnęki, wszelkie zabrane przez czas rysy Jezusowej twarzy wydawały się tajemnym sposobem zwrócone i pełne żywej ekspresji. Magdalena delikatnie pogładziła palcem małą drewnianą dłoń i usiadła obok kapliczki na pniu przewróconego drzewa. Wielki pies położył swój włochaty łeb na jej kolanach. Ziarenka gwiazd rozsypały się już szeroko na niezgłębiony granat kosmosu. Od pewnego czasu towarzyszył im księżyc wznoszący się nad czarną linią lasu i nabierający z każdą chwilą intensywniejszego blasku. Niezliczone cienie i srebrzysto-złote plamy poświaty malowniczo mieszały się z równie niezliczonymi trawami i ziołami, których nie poruszał nawet najłżejszy powiew. Cisza, zespolona z tym bezruchem i księżycowym światłem, była wszechobecna. Niekiedy tylko mąciło ją dale-

kie, senne szczekanie psów. Wszystko to skłaniało do głębszych i szerszych myśli.

Przyjechała do babci na kilkanaście dni. Co roku pozwalała sobie na takie chwile wytchnienia po życiu w zgiełku wielkiego miasta. Tegoroczny pobyt był wyjątkowy. Umarł ojciec, który samotnie ją wychowywał. Pragnęła w spokoju zacząć się przyzwyczajać do tej nowej sytuacji.

Zawsze najbardziej bała się samotności. Miała wszakże nadzieję, że zdąży się do niej przygotować albo nawet przed nią schronić. Nie spełniło się ani jedno, ani drugie. Oto los kompletnie ją zaskoczył. Poczula się bezradna.

Ojciec był dobrym człowiekiem. Uczuciowym idealistą. Pełniąc funkcję dosyć wysokiego urzędnika państwowego, potrafił dobrze zająć się jedynaczką. Zapewnił jej beztrioskie dzieciństwo, solidne wykształcenie oraz dopomógł w zajęciu znaczącej pozycji zawodowej i społecznej. Zatem teraz miała własny wygodny dom i nie musiała się martwić o pieniądze. Otaczali ją liczni znajomi. Nie brakło też grupki przyjaciół. Mimo to czuła wszędzie dotkliwą pustkę, nieogarniony brak prawdziwej ludzkiej bliskości.

Nie znosiła zakłamania. Czy kiedyś spotka mężczyznę, który pragnąłby jej dla niej samej? Nie miała złudzeń. To mało prawdopodobne. Żeby choć odznaczała się wystarczającą urodą. Była niska, grubawa, a ze swoją nabrzmiałą twarzą mogłaby należeć do grona kłótliwych kucharek.

„To twoja wina, tato. Zbyt mocno mnie kochałeś. Dlatego oczekuję podobnej miłości od kogoś innego – pomyślała patrząc na migające gwiazdy. – A co gorsza, nie zdążyłeś mi wytłumaczyć, jak mam żyć, kiedy cię zabraknie. Chyba się nigdy nie pogodzę z twoim odejściem. Zupełnie tego nie rozumiem. Czy mnie słyszysz? Gdzie teraz jesteś? Daj mi jakikolwiek znak, że jesteś, że gdziekolwiek jesteś... Wybacz, ale nie potrafię już tak wierzyć jak wierzyłam w dzieciństwie, kiedy brałeś mnie na kolana i czytałeś mi Biblię. Pamiętasz? Pewnej zimowej nocy wyłączono prąd, a ty przy blasku świecy przeczytałeś mi te cudowne słowa z Apokalipsy: *I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły*. Długo potem w łóżku, kiedy za oknem szalała zamieć, myślałam o tych słowach. Często powtarzałeś, że kłamstwa dawno by już pochłonęły świat, gdyby nie prawda zawarta w Biblii. To było niezwykle prawdziwe i przejmujące jeszcze dla nastolatki. Ale przeżywszy te swoje trzydzieści sześć lat, nie umiem już odnajdywać w świętych tekstach recepty na zakłamanie tego świata. Cóż na to poradzę? Gdzieś już zgubiłam wiarę, jaką mi dałeś w dzieciństwie. Gorzej... Nie jestem pewna, czy aby jeszcze tli się we mnie jakakolwiek wiara. Ostatnio nawet zaczęłam myśleć,

że Niebiański Stwórca odszedł razem z tobą... A jest może inaczej? Skąd więc to obojętne milczenie tych nocnych pól i tego bezmiaru gwiazd nade mną? Czy nie mam racji? Jeśli ty nie możesz zaprzeczyć, niech zaprzeczy twój biblijny Bóg. Niech chociażby na chwileczkę przerwie swoje boskie wyciszenie i przekona mnie, że jest naszym Bogiem. Nie zamierzam Go szantażować, ale jeżeli jest, to chyba nie chce, żeby jakaś Jego owieczka zginęła z powodu niedowiarstwa. Więc czekam”.

Głębiej wpatrzyła się i wsłuchała w rozgwieżdżone niebo, lecz ono nadal było pełne niewzruszonej, martwej ciszy. Nil poruszył włochatym łbem pod jej dłonią i pieszczotliwie liźnął ją po palcu, dając do zrozumienia, że pragnie wracać do domu. Podniosła się z pnia, mocno przeciągnęła i ziewnąwszy powiedziała cicho: „Wybacz mi, tato, te moje głupie myśli. Nilek jest ode mnie mądrzejszy, bo nigdy nie filozofuje, chociaż któż to wie...” – znowu ziewnęła.

Nie oddaliła się jeszcze zbyt od kapliczki, gdy usłyszała dziwny szum, jak gdyby nie wiadomo skąd napływało niewidzialne morze. Zdumiona i zaciekawiona przystanąła. W tejsze chwili zjawił się miękki, ciepły strumień powietrza, tajemniczo przechowana pozostałość po upalnym dniu, przyjemnie porozwiewał wszystkie włosy na jej głowie i z szelestem potarł sukienkę. Również całutka sierść na grzbiecie stojącego przy niej psa zafalowała gwałtownie i zachwiały się wszelkie, tonące wokół w księżycowej poświacie, trawy i zioła. Jednocześnie poczuła całą swoją duszę, że oto znalazła się w czyjejś Obecności, nie dającej się ogarnąć czy umiejscowić. Nie śmiała podnieść wzroku, napełniona wzruszeniem i radosnym uniesieniem. Była absolutnie przekonana, że gdyby wtedy ponownie spojrzała w gwiazdy, zobaczyłaby nakreślone delikatnie, skoncentrowane na niej, dobrotliwie uśmiechnięte spojrzenie, podobne do spojrzenia jej ojca, a nawet jeszcze bardziej wyrozumiałe. Nie może sobie przypomnieć, jak długo trwało to jedyne w swoim rodzaju spotkanie. Zapewne parę chwil. Rozgrzany powiew uleciał gdzieś tak samo niepowstrzymanie jak się pojawił, a wraz z nim opuściła ją nieogarniona Obecność. Nil zaczął wilgotnym nosem trącać jej rękę, domagając się już stanowczo powrotu. Przypięła go do smyczy i, idąc lekkim krokiem na przelaj przez łąkę, dotarła cichutko do gospodarstwa babci.

Tej nocy spała mocno i wyjątkowo długo, dopóki słońce nie przelało się ostrym blaskiem przez stojące na parapecie małego okna pelargonie i nie ogrzało jej policzka. Odtąd wiedziała, że samotność jest dla niej czymś niemożliwym, choćby nawet porzuciła cały świat albo choćby świat porzucił ją.

Dom wśród topoli

I.

Poza miastem, na łagodnie zaokrąglonym wzgórzu, stał stary dom z czerwonej cegły. Rosły przy nim cztery olbrzymie topole nieustannie chwytające wiatr – dwie z lewej i dwie z prawej strony frontowej ściany. W promieniu kilkuset metrów nie było innego budynku. Być może dlatego zdawało się, że otaczał go podwójny, powietrzny krąg jakiejś magicznej ciszy.

Dom cechował się osobliwą, neogotycką architekturą. Mógłby przypominać ładny miniaturowy zamek, gdyby nie półkoliście wypukła, oszklona weranda, wbudowana w piętro i w skomplikowany sposób połączona z dachem. Górząc nad południową stroną wzgórza, prawie każdemu patrzącemu na nią z oddali przywodziła na myśl dziwną morską latarnię porzuconą przez morze.

Od miasta, niby szara płachta rozłożonego na południu, wiodła do samotnego domu ulica. Właściwie ulica tylko z nazwy, bo za miastem bardzo szybko znikał jej miejski asfalt, a potem równie szybko pozbywała się betonowych, sześciobocznych płytek i dalej biegła już jako gliniasta i kamienista polna droga. Z lotu ptaka wyglądało to tak, jak gdyby miasto wypuszczało rozciągliwy nerw albo długą mackę, żeby objąć i pochłonąć tę uparcie indywidualną i uparcie nie dającą się pochłonąć budowlę.

Gdy ktoś zbliżał się ku domowi idąc tą właśnie, łagodnie wspinającą się na wzgórze, ulicą-drogą, już w odległości chyba stu metrów mógł za szybami werandy, jeżeli nie odbijało się w nich słońce, dostrzec parasolowate, ciemnozielone palmy, wielkie fikusy i wąskie, łukowato wygięte liście kalii. A kiedy bardziej się zbliżył, mógł w głębi między roślinami zobaczyć lśniąco biały, podłużny kształt. Niewielu mieszkańców miasta wiedziało albo raczej niewie-

lu jeszcze pamiętało, że jest to owinięty w białe koce stary, sparaliżowany człowiek.

Stanisław Malicki zaczął chorować prawie trzydzieści lat temu. Choroba nie zawładnęła nim raptownie. Stopniowo, miesiąc po miesiącu, bezradnie się w niej pograżał niczym w obezwładniającym grzęzawisku. Ostatecznie, zachowując nienaruszoną świadomość, upodobił się cielesną egzystencją do zatrzymanej w rozwoju rośliny, której ruchy ograniczają się do wewnętrznego krążenia soków. Początkowo, dopóki o nim pamiętano, niektórzy jakoby mówili czy jedynie sądzili w myślach, że to kalectwo w jakiś pośredni, niejasny sposób wiąże się z jego niejasnymi, wojennymi przeżyciami, chociaż gdy zachorował, od zakończenia wojny upłynęło długie dwudziestolecie, a zajmujący się nim lekarze, gdyby usłyszeli o tych domniemanych związkach, zaprzeczyliby im stanowczo.

W rzeczy samej, o wojennych losach Malickiego nikt w mieście nie umiał nic pewnego powiedzieć. On sam zawsze starannie, nawet wśród najbliższych, omijał w rozmowach ten stykający się z wojną fragment swoich wspomnień, jak omijałby ognisko płonące na środku drogi. Pewne było wyłącznie to, że większą część wojny przeżył w jakimś niewielkim obozie niewolniczej pracy, położonym gdzieś na południu hitlerowskich Niemiec, w jednym z tych mało znanych obozów, których dzwięczne nazwy są najprawdopodobniej skazane na to, by zniknąć z pamięci lub pozostać nazwami cichych i zagubionych na mapach miasteczek. Krażyły pogłoski, że wiódł tam żywot nieco odbiegający od powszechnej barakowej vegetacji, to znaczy, że jakoby stał się więźniem złamanym, który wyparł się swojej ludzkiej godności. Inne wieści dopowiadały bezlitośnie, że kiedy wojska alianckie zajęły obóz, zastały oprócz niego jeszcze tylko kilkunastu wycieńczonych więźniów, którzy wkrótce w większości poumierali. Wrócił bez poważniejszych uszczerbków na zdrowiu, ale na potwierdzenie tych mrocznych rewelacji nie można już było znaleźć nic poza owym szczęśliwym powrotem. Dlatego z wolna wszelkie pomówienia wygasły jak wygasają fale po rzuceniu kamykiem w jezioro. Wydawało się zatem, że miasto bez oporów go wchłonie i ogarnie szarością zwyczajnych mieszkańców tak, iż nie będzie się od tej szarości różnił, wrośnięty w nią całym sobą. Do tego wszakże nigdy nie doszło.

Kiedy przybył z Niemiec, los wyraźnie mu sprzyjał. Zamieszkał u jedyne go żyjącego krewnego, dzięki któremu znalazł dobrą pracę w zakładzie rzemieślniczym niedaleko rynku. Spotykał się więc z wieloma ludźmi i miał sporo znajomych. Jednak wszyscy oni dostrzegali w nim coś obcego, chłodnego i wyblakłego. Zdawał się zawsze poruszać w przejrzystej, gładkiej

skorupce, albo określając to inaczej, wyczuwało się w jego wnętrzu kogoś drugiego, prawdziwszego, odizolowanego niby rozbitek na samotnej wyspie. Przypuszczano, że nigdy nie ulegnie pragnieniu, by założyć rodzinę. Życie nie byłoby wierne sobie, gdyby nie przywykło zadawać kłam podobnym domysłom. A istnieje ponadto i ta życiowa prawda, że im ludzie mniej się od siebie różnią, tym skuteczniej się odnajdują w każdych okolicznościach.

Ku ogólnemu zdumieniu, które szybko zmieniło się w zazdrość, ożenił się z Konstancją Branik – jedną z najbogatszych i najładniejszych kobiet w mieście. Również i ona otoczona była elastyczną powłoką obcości, lecz w odróżnieniu od jego wewnętrznego osamotnienia, jej wyobcowanie zawierało pewną łagodną wyniosłość, której przyczyną mógł być stary, stojący na wzgórzu za miastem dom – najważniejszy dla niej fragment świata, ukochana rodzinna własność. Ze szczęśliwego związku tych swoiście samotniczych natur narodziło się jedno dziecko – dorodny, czarnooki syn Edward.

Po zamieszkaniu z żoną Stanisław Malicki jeszcze bardziej wyobcował się z miasta. Choroba utrwaliła tę sytuację ostatecznie, bo w ciągu paru miesięcy całkowicie usunęła go z miejskiego życia. Odtąd zrósł się z domem z buraczkowoczerwonej cegły, stając się jego nierozzerwalną częścią, niemal jakimś wewnętrznym organem.

Paraliż jedynie twarzy mu nie odebrał. Potrafił ruszać oczyma, zmieniać ułożenie brwi i nieznacznie rozchyłać wargi, co wystarczało, żeby przyjmować pokarm, lecz żadnego słowa wymówić nie umiał. Słuch mu się niezwykle wyostrzył umożliwiając wychwytywanie i precyzyjne ustalanie położenia w przestrzeni źródła każdego, nawet najcichszego dźwięku, choćby znajdowało się ono w najdalszym zakamarku domu. Jednak podstawowego znaczenia nabrał dla niego wzrok, będąc już nie tylko główną bramą otwartą na otoczenie. Zmysł ten zdawał się łączyć go w ogóle z życiem podobnie jak pępowina łączy z życiem płód. Gdy opuszczał powieki, życie natychmiast jakby ulytywało z niego, ustępując pustej martwocie. Wówczas jego twarz sprawiała wrażenie wykutej w jasnoszarym piaskowcu. Oczy, z natury już bardzo ciemne, wraz z upływającymi latami paraliżu pociemniały mu mocniej, a kiedy się zestarzał, ich źrenice prawie zwały się z tęczówkami, tworząc jednolicie czarne, krystalicznie połyskujące bryłki. Czernią tą odcinały się one ostro od jasnej twarzy, perłowosiwych włosów i śnieżnobiałych wełnianych koców, którymi żona troskliwie go okrywała. Przy czym samo jego spojrzenie z biegiem czasu zyskało nowe specyficzne właściwości. Mogło bowiem, niby jakaś zastępcza istota albo druga jaźń, oddzielać się od unieruchomionego ciała, przez szyby opuszczać werandę i wędrować po południowej stronie wzgórza

lub jak uskrzydłone szybować lepiej niż niejeden ptak.

Na werandzie przebywał prawie cały rok. Tylko w wyjątkowo mroźne zimowe tygodnie i słoneczne letnie popołudnia odwożono go do pokoju. Z niezmienną, z lekka dziecięcą niecierpliwością oczekiwał zniknięcia ostatnich śniegów i nadejścia wiosny. Ogarniane przez niego stęsknionym wzrokiem, odradzające się i rozwijające składniki przyrody, wszelkie widoczne z werandy łąki, krzewy głogu i czarnego bzu, nawiązywały z nim niezwykły kontakt, każdym przejawem swojego zielonego istnienia zdając się wnikać bezpośrednio do jego wnętrza. Wiosna, z początku pełna brudnych strumyków wypływających z odtałajęcej ziemi, jasnozielona od nabrzmiewających pąków i młodziutkich źdźbeł trawy, sztywnych i równych jak szpilki, z płynną stanowczością rozkwitała i przeistaczała się w lato, które równie płynnie gubiło się w jesieni. Każdy dzień przynosił jakąś zmianę na tej scenie życia i wszelką taką zmianę, choćby najdrobniejszą i niezauważalną dla nikogo innego, dokładnie notował w pamięci, porównywał z poprzednimi zmianami i tworzył z nich misterny łańcuch, długą, staranną kronikę.

W jego oczach również niebo było sceną swoistego życia i to nie mniej fascynującą. Za dnia życie to – oprócz drobnego dodatku ptasich lotów – przejawiało się w chmurach, w tych odwiecznie niepowtarzalnych kształtach, nieustannie się kłębiących, przelewających i pulsujących niby myśli jakiegoś rozmarzonego boga. Od zachodu chmury płynęły zazwyczaj wolno i majestatycznie niczym dumna armada królewskich żaglowców powracających ze zwycięskiej bitwy lub uroczysta procesja biało okapturzonych mnichów. Natomiast od południa zwykle gwałcił je wiatr porywisty i wówczas pędziły jak tabuny dzikich koni o rozwianych grzywach albo jak splekane tafle wiosennej kry sunącej z niepowstrzymaną siłą korytem wezbranej rzeki. Czasem, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, na opustoszały, stygnący błękit wypływała chmura o potarganych brzegach przeświecających porcelanową bielą. Jakby utraciwszy moc dalszego szybowania, zatrzymywała się niemal w zenicie, bezradnie wysuwała na wszystkie strony długie, wehmiście, strzępiaste kosmyki, które z minuty na minutę stawały się coraz bardziej strzępiaste, wątlejsze, cieńsze, by zniknąć bez śladu. Wkrótce samo wnętrze chmury zaczynało się zmniejszać, topnieć, nabierać pajęczej przejrzystości, jeszcze chwila i, niby widmowy muślin, rozplątywało się w błękitnym niebycie. Niekiedy znad przymglonego horyzontu wyłaniało się skłębione czoło cumulusa. Początkowo sinoczerwone i niepozorne, w miarę wznoszenia się ponad widnokrąg napełniało się srebrzystym blaskiem, nabrzmiewało, pęczniało i olbrzymiało. Cumulus z wolna wyjawiał i doskonalił swój przepych, skrzył się marmuro-

wym blaskiem i delikatnie różowił na miękkich zaokrągleniach, przypominając gigantyczną śnieżną czapę zawieszoną w przestworzach. Lecz kopulasty wierzchołek wciąż mu się wybrzuszał, kłębił i rozrastał wznosząc się wyżej i wyżej, aby na szczytach nieboskłonu rozpląszczyć się szeroko jakby pod niewidzialną zaporą i przybrać formę imponującego kapelusza – nieraz gniazda i zwiastuna burzy.

W bezchmurne noce życiem nieba były gwiazdy. Malicki nie odczuwał zbyt dużej potrzeby snu i mniej więcej do północy obserwował je przez górne szyby werandy. Wtedy owa przedziwna, zrodzona i rozwinięta w czasie choroby właściwość jego wzroku ujawniała się w pełni. Obecny w swoim spojrzeniu jak w łodzi, odpływał od bezwładnego ciała i zanurzał się w nadpowietrzną, kosmiczną noc. Czarnogranatowe niebo traciło pozór zamkniętej, dwuwymiarowej konstrukcji, odzyskując naturalną, nieogarnioną głębię, w której rozrzucone lampki gwiazd płonęły wszędzie wokół niego. Nie było dwóch równych wielkością, barwą czy jasnością. Niektóre rytmicznie rozbłyskiwały. W przestrzeni między nimi panowała doskonała cisza, podobna może do ciszy zamkniętej w lodowym pałacu. Ta jej krystaliczna doskonałość wywarła na nim wrażenie jakiejś nieuchwytniej kurtyny, za którą bezustannie przepływało tajemnicze, harmonijne brzmienie. Ilekroć całą mocą woli usiłował tę kurtynę przeniknąć, natrafiał na dobiegające z nieokreślonego kierunku, miarowe, głucho szeleszczące pulsowanie. I wciąż z takim samym rozczarowaniem uświadamiał sobie, że to pracuje jego serce. Magiczna łódź spojrzenia natychmiast powracała. Znowu odnajdywał siebie we wnętrzu oszklonej werandy, wśród palm i fikusów, starannie okrytego białymi kocami, bezwładnie leżącego albo siedzącego w dziwacznym, zaopatrzonym w kółka fotelo łóżku, którego oparcie można było odpowiednio ustawiać specjalnym pokrętłem i suwakiem ze stalowymi ząbkami. Zamykał zmęczone oczy i zasypiał.

Budził się tuż przed świtem, aby z niezmiennie świeżym zainteresowaniem obserwować jego narodziny. Gdzieś z lewej strony, w przymglonej dali, na granatowoszarym i widmowo nierealnym styku jeszcze nocnego nieba i jeszcze nocnej ziemi, coś się czerwieniło i rozżarzało, wzrastając z niedostrzegalną płynnością, by rozlać się szeroką, miękką falą jak jezioro stopionej miedzi. Stopniowo ta rubinowa luna rozjaśniała się i obejmowała coraz rozleglejsze połacie ustępującej nocy, rozpalając do czerwoności obrzeża ciemnych, wstęgowatych, równoległych do horyzontu obłoków, płomienistym blaskiem pełznąć powoli w kierunku wzgórze, rumieniąc rosnące na nim krzewy i wlewając się karminową przejrzystością na werandę. Pod białym kocem, nasyconym teraz świetlistym karminem, w głębi starczej piersi, serce zaczynało bić

żywiej i mocniej, z bardziej zaakcentowanym, sprężystym rytmem. W ciepłe noce lufcik u góry był zawsze szeroko otwarty, lecz dopiero wówczas, na początku dnia, gdy trwała ta poranna, karminowa świetlistość, zdobywał się na głębokie, pełne oddechy, bo tylko o tej porze powietrze miało wspaniały, winny smak, najbardziej świeży i odprężający.

Wkrótce potem w domu budziło się życie, które – jak to zwykle bywa w większości starych i spokojnych domów – wytworzyło sobie własny, dla wszystkich domowników wygodny dzienny plan. Stanisław Malicki tak bardzo zespolił się z domem, że zdawał się świadomością przenikać go równie dogłębnie jak stare drzewo przerasta korzeniami glebę pod sobą. Umiał więc bezbłędnie wyczuwać chwilę, kiedy w pokoju na parterze wstawała z pościeli jego żona, Konstancja, kiedy otwartymi dłońmi przecierała twarz, jakby chcąc usunąć z niej resztki snu, i kiedy drewnianym grzebieniem wygładzała perłowobiałe, nadal niezwykle gęste włosy. Następne jej czynności były prawie nie zmienione od czasu, gdy zachorował. Stopnie odwiecznie używanych, dębowych schodów, łączących parter z piętrem, łagodnie trzeszczały pod jej skórzanymi pantoflami obszytymi króliczym futerkiem. Cicho otwierała szklane drzwi i podchodziła do niego, wysoka, szczupła, w bladoniebieskiej nocnej koszuli i w jabłkowitzielonym, pikowanym szlafroku, jeszcze emanująca miękkim, miłym ciepłem łóżka. Na otoczone siateczką zmarszczek, wąskie usta kładła jasny uśmiech i błyskiem serdecznego spojrzenia wymieniała się z mężem. Mówiła kilka ciepłych słów, sprawdzała, czy jego głowa leży wygodnie na wałku oparcia, nieznacznie zmieniała położenie bezwładnych, chłodnych rąk i poprawiała koce, chociaż było to niepotrzebne, bo przecież nie mógł się poruszyć. Wtedy już całkiem uspokojona wracała na parter, aby się przebrać i przygotować śniadanie.

Zaraz po tych odwiedzinach przychodziła pielęgniarzka poruszająca się z lekkością motyla mimo dosyć okazałej powierzchowności. Opróżniała mu basen, przynosiła ręcznik, gąbkę, miskę z ciepłą wodą i obmywała sparaliżowane ciało, a miejsca zagrożone odleżynami smarowała specjalną maścią. Ona też, niczym najlepszy fryzjer, wprawnie gołiła go brzytwą, nucąc przy tym jakąś religijną pieśń.

Posiłki – zawsze w postaci papiek albo zup z dokładnie przetartą zawartością – przyrządzała mu Konstancja i najczęściej sama go karmiła. Płynąca w jej żyłach znaczna domieszka arystokratycznej krwi, mająca źródła na dalekiej, przesyconej słońcem ziemi, dawała znać o sobie również w tej czynności. Stawiała przy mężu stoliczek z talerzem i siadała obok na pięknie wyplecionym z wikliny krześle. Nie spiesząc się, z jakąś surowa szlachet-

nością, sztywno trzymając proste plecy i nie poruszając głową, wkładała czubek łyżki między jego lekko rozchylone wargi, a jeśli drobiny pokarmu lepiły się do nich bądź wyciekały kącikiem ust, cierpliwie, z tą samą surową szlachetnością zgarniała je łyżką lub wycierała lnianą serwetką.

Nigdy nie użalała się nad swoim losem. Kalectwo męża tylko jeszcze bardziej ujawniło i rozwinęło wszelkie jej duchowe zalety. Rodzinne gospodarstwo prowadziła z niezrównaną energią i skrupulatnością. Unikała jednak narzucania swojej woli, a każdą poważniejszą życiową przeszkodę starała się pokonać cierpliwością. Nade wszystko ceniła rodzinną harmonię. Teraz, na stare lata, mogła z dumą zaświadczyć, że potrafiła tę harmonię osiągnąć.

Zdawało się, że nic nie przeszkodzi temu, by życie, jakie wiodła z mężem upływało dalej w swoim zwykłym, uporządkowanym, szlachetnie wyciszonym rytmie aż do nieodwołalnego kresu. Ale los lubi chować w zanadru najbardziej zaskakujące i drwiące z ustalonego porządku karty... Oto nadzedł kolejny zwyczajny maj, lecz dom samotnie czerwieńiejący na wzgórzu stał się świadkiem czegoś tak szokująco nieprawdopodobnego, że mało kto się trudził, aby w to uwierzyć, a co dla Konstancji na zawsze pozostało głębokim wstrząsem.

II.

Chłodna majowa noc powoli zbliżała się do końca, mimo że jeszcze nic na to nie wskazywało. Wiosennie namiętna, krótka burza odpływała na zachód wśród słabnących rozbłysków i głuchych, zamierających w oddali grzmotów. Nasiąknięte mrokiem, potargane chmury rozsunęły się na wszystkie strony. Nad śpiącym miastem rozłożył się szeroki wachlarz wygwieźdżonego nieba. Odświeżone po ulewie powietrze było tak nieruchome, że gdyby drzemiący na gałęzi klonu gołąb zgubił najlżejsze pióro, spłynęłoby ono idealnie pionowo na ławkę obok pnia. Na chodnikach i jezdniach widniały liczne kałuże, w których lśniły gwiazdy i uliczne latarnie.

Grudkiewiczza obudziło stukanie w boczną szybę samochodu. Zanurzony w płytkim śnie, wyraźnie słyszał, jak staw wskazującego palca uderza

w szkło. Rozejrzał się, ale na zewnątrz nie było nikogo. Spojrzał na podświetlany samochodowy zegar. Był zdumiony, że drzemał równie krótko. Nogi miał jakby z drewna i wydawał się przyrośnięty do siedzenia. Z ulgą wyprostował kolana wychodząc na chodnik. Natychmiast poczuł wilgotny chłód. Niemal pod szyję zasunął zamek w kurtce. Pomasaował obolały kark i ujrzał nad sobą morze gwiazd. Wielokrotnie już przetrawiane myśli znowu zaczęły go ogarniać, niby pełzające bezszelestnie węże. Na próżno usiłował je wypchnąć ze świadomości. Zapalił papierosa i oparł się ramieniem o betonowy słup, wydychając parę zmieszaną z dymem.

„Jabłkowa Agnieszka... Jabłkowa... Jabłkowa...” – powtarzał w myślach, a były to słowa tak pusto brzmiące jak wahnięcia tekturowego dzwonu. Niedgdyś lubił ją kojarzyć ze wspaniałymi papierówkami, które dojrzewały w sadzie ojca. Przepadała za nimi, a kiedy je jadła, odginała mały, kształtny palec z sobie tylko właściwą zalotnością. Również jabłkowa, bo najlepiej było jej do twarzy w zielonych rzeczach. A gdy chodząc w ciąży nosiła jasnozieloną, luźną sukienkę z krótkimi, szerokimi rękawami, nazywał ją swoim zielonym jabłuszkiem.

Nim po raz kolejny zaciągnął się papierosem, kawałek wypalonego tytoniu sam się odkruszył i spadł na brzeg małej kałuży. „Czy to możliwe?.. Czy możliwe?..” – zastanawiał się bezradnie. Znów głęboko wciągnął do płuc gorący tytoniowy dym. A czemu miałyby być niemożliwe? Czy nie trafniej zapytać, dlaczego nigdy nie odstąpił od dziecinnej wiary w to, że na tym świecie są jeszcze jakieś porządne reguły? Jak mógł się przez tyle czasu nie różnić od naiwnie ufego ślepca? Oni oczywiście bezlitośnie to wykorzystali. Ale gdyby nawet kiedykolwiek podejrzewał Agnieszkę, to w żadnym razie nie pomyślałby o Jurku. Znał go od podstawówki. Najwierniejszy kumpel. Później został przyjacielem rodziny. Był obecny na prawie każdej rodzinnej uroczystości. Niezmiennie uśmiechnięty, trochę głupio dowcipny, po swojemu swobodny. A schludny do przesady. Zwykle ubrany w jasny, elegancki garnitur. Jednak to zbytnio nie poprawiało jego wyglądu. Cierpiał na nadczynność tarczycy. Wodniste oczy miał nienaturalnie wypukłe. A ponadto twarz mu szpeciły szerokie blizny – ślady po wypadku samochodowym, w którym tylko cudem nie zginął. Bez wątplenia, Jurka trudno byłoby posądzać.

Zaczęło łagodnie wiać. Papierosowy dym tworzył teraz poziomą, szybko się rozwijającą smużkę. Wciąż w zamyśleniu oparty o słup, poczuł, że papieros parzy mu palce. Z szeleszczącej paczki wyjął nowego. Płomień wyskoczył z zapalniczki dopiero za czwartym razem. Nie powinien się denerwować. Nie jest pierwszy i nie ostatni. To w dzisiejszych czasach banalna sprawa.

No i kierownica nie lubi nerwów. Wypuścił przez usta strumień dymu i ponownie spojrzął w górę. Niebo powlekło się cieniutką mgłą, lecz gwiazdy nie przygasły. „Zapowiada się słoneczny dzień. Po południu zabiorę Mariuszka nad jezioro. Uwielbia wędkować. Zdrzemnę się, a on będzie mnie szturchał w ramię, kiedy spławik się kiwnie” – pomyślał.

Atmosfera panująca w jego domu stawała się od kilku tygodni coraz trudniejsza do zniesienia, pełna dusznego napięcia. Koncentrowało się ono zwłaszcza w porze obiadu. Agnieszka – niby doświadczona kelnerka – z nienaganną dokładnością i obojętnością podawała do stołu. Poruszała się sprężysto i pospiesznie. Otaczała ją aureola zimnego rozdrażnienia, które z najbardziej błahego powodu wybuchało podniesionym głosem szukającym kłótni. Wyczuwał jednak, że ten ponury nastrój niemal zupełnie jej nie przenikał skupiając się niejako na powierzchni skóry i że wewnątrz była pogodna, odświeżona, a nawet ustawicznie uśmiechała się do siebie. „Mężczyźni nie są zdolni do czegoś takiego” – rzekł w myślach i znowu wydmuchnął z ust skłębioną falę dymu. Przypomniawszy sobie, jak to niedawno – nie wiadomo czemu, bo wtedy nie miał pracy – obudził się nad ranem. Świt już zaczynał usuwać mrok z sypialni. Ostrożnie się podniósł i wsparł na łokciu, aby lepiej widzieć śpiącą żonę. Leżała na wznak, do połowy odkryta i jakoś dziwnie przegięta w biodrach. Twarz miała zwróconą ku niemu, więc mógł się do woli wpatrywać w jej delikatnie uśmiechnięte wargi, w spokojnie i dumnie czerniejące brwi, w powieki pełne dziecięcej niewinności i przyjemnego oddalenia. Patrząc tak na nią, cała obolała z bezradności, dopóki pierwsze promienie słońca nie wspięły się na jej policzek. „Jaki to dzisiaj banał. Spędzasz z kimś najbardziej ci bliskim spory kawał życia i nagle odkrywasz, że tak naprawdę to nic o nim nie wiesz” – pomyślał i rzucił nadpalonego papierosa w kałużę, w której na chwilę zafalowały iskierki gwiazd. Po kilku minutach wezwano go przez telefon i pojechał w kierunku dworca.

Miasto, mimo że stosunkowo duże, pogrążone było w martwocie prowincjonalnej nocy. Za szybami samochodu przesuwają się kamienice zanurzone w mroku, sunęły wielkie kasztanowce z mnóstwem kremowych, stożkowatych kwiatostanów, odpływały opustoszałe, mokre ulice i place, a mlecznobiałe światła latarni jeszcze potęgowały tę śródmiejską samotnię. Wspomniał kobiecy głos w słuchawce i nieco przyspieszył.

Stała na krawężniku, oblana miękkim światłem napływającym z dworcowego budynku. Była smukła, ubrana w beżowy, elegancki płaszcz, trzymała modną czarną torebkę i niedużego psa na smyczy. Zahamował tuż przy niej. Gdy spokojnie wsiadała, zobaczył, że jest wyjątkowo ładna i ma nie więcej

niż dwadzieścia parę lat. Dawno nie widział podobnie wspaniałych, czarnych włosów. Zatrzasnęła drzwi i ruszyli. Mijane latarnie rozjaśniały wnętrze samochodu bladym, pulsującym blaskiem, wystarczającym, żeby wszystkie rysy jej twarzy były widoczne w samochodowym lusterku.

– Do Studziennej dobry szmat drogi. Gdyby nikt nie przyjechał, musiałyby pani czekać do rana na stacji – zauważył niby mimochodem.

– Gdyby nikt nie przyjechał, poszłabym pieszo – odparła z uśmiechem.
– Spacer dobrze by mi zrobił po długim siedzeniu w pociągu.

– Nie bałaby się pani? Nasze miasto nocą bywa nie całkiem bezpiecznie opustoszałe – powiedział zerkając w lusterko, na jej ładne ciemnobrązowe oczy i sympatyczny krągły nos.

– Dotychczas mnie nie napadnięto, więc zapewne i tym razem do niczego by nie doszło – wyjaśniła beztroskim głosem. – Zresztą, mój kochany Filon na pewno by mnie obronił. Prawda, Filonku? – obróciła ku sobie głowę spaniela trzymanego na kolanach i pogładziła go po nosie opuszką wskazującego palca.

– Nie ma pani bagaży. Może jakieś nie zapowiedziane odwiedziny?

– Ależ nie. Tylko nie oczekiwany powrót. Mam już taką kapryśną naturę.

– Zazdroszczę. Zawsze chciałem mieć chociaż trochę rozkapryśzoną duszę, ale nic z tego. Pani się uśmiecha? Naprawdę. Życie nie pozwala, a dusza nie umie – wyznał.

– No to z pana prawdziwy wyjątek. Mężczyźni, których znam, są okropnie rozkapryśzeni. Znacznie bardziej niż ja.

– Mąż też, jeśli wolno spytać?

– Mąż? – zaśmiała się. – Dotąd nawet nie natrafiłam na ślad odpowiedniego kandydata. A poważnie? Mam, jak sądzę, jeszcze sporo czasu na znalezienie męża. Na razie wystarczy mi przyjaźń psa. On przynajmniej nigdy nie skłamie.

– Ma pani rację. Moja mądra babcia zawsze powtarzała, że małżeństwo to ostatnia rzecz, z którą warto się spieszyć. I sama była przez sześćdziesiąt lat szczęśliwą żoną. Jestem pewny, że pani, tak interesująca kobieta, spotka we właściwym czasie właściwego człowieka.

– Nie spodziewałam się, że ktoś jeszcze tej nocy powie mi coś tak miłego.

– A czy ja się spodziewałem odwozić kogoś tak uroczonego? – powiedział zadowolony z jej delikatnych rumieńców.

Wspólna jazda dobiegała kresu. Łagodnie wziął zakręt i wjechał między stare, gęsto rozgałęzione klony, tworzące na ulicy Studziennej istny tunel z połyskliwych, młodziutkich liści. Zatrzymał się przed dużym, zapewne kilkudziesięcioletnim domem, który – częściowo zanurzony w słabym, żółtawym

blasku dziwnie małej latarni i teraz częściowo oświetlony samochodowymi reflektorami – wyglądał nad wyraz malowniczo, wręcz baśniowo nierealnie. Zapłaciła, podziękowała i bez pośpiechu, eleganckim krokiem, oddaliła się od samochodu, a przy niej dreptał brązowy cocker spaniel z radośnie otwartym pyskiem. Nie ruszając, Grudkiewicz obserwował, jak wchodzi na ganek, jak manipuluje kluczem, jak znika za drzwiami, których półkolista szybka natychmiast się rozjaśnia niczym połowa księżyca. Położył otwarte dłonie na kierownicy, skurczył i rozkurczył palce, westchnął i udał się w powrotną drogę.

Asfalt przed samochodem zlewał się w stalowoszarą rzekę. Przejeżdżane kałuże opryskiwały puste chodniki. Nocne powietrze, niby olbrzymia ćma, szumiało za uchyloną boczną szybą. Przysypane mrokiem dachy i korony drzew ulatywały w tył wśród nieruchomych gwiazd. Na placu Wolności znajdowała się oryginalna fontanna – jedna z niewielu rzeczy, z jakich miasto to było szeroko znane. Wyrzeźbiona w czarnym bazalcie, miała kształt anioła wysokiego na cztery metry. Anioł uśmiechał się z jakimś ironicznym smutkiem, wysoko nad głową wznosił złożone ręce i spomiędzy palców wypuszczał wachlarz wody. Właśnie przy tej fontannie zahamował na żądanie dwóch chłopaków, może siedemnastoletnich. Wyższy był szczupłym blondynem o pociągłej twarzy naznaczonej licznymi wypryskami. Gdy wślizgiwał się na tylne siedzenie, sprawiał wrażenie podchmielonego. Niższy miał ciemne włosy zaczesane starannie nad jasną, szlachetnie ukształtowaną twarzą o bardzo ładnych, czarnych oczach. W przeciwieństwie do wyższego wydawał się zupełnie trzeźwy i bardziej skupiony.

– Tylko dobrze zamknijcie drzwi – rzekł do nich Grudkiewicz. – Nowy zamek. Jeszcze nie całkiem wyrobiony. No to gdzie jedziemy?

Wymienili się krótkimi spojrzeniami.

– Witkiewicza 63 – odparł jasnowłosy, prawie nie poruszając górną wargą, która uwypuklała się dziecinnie pod rzadkim, szpeciniastym zarostem.

– A piechotę byłoby zbyt ciężko?

– Spieszmy się. Mamy umówione spotkanie. – z dziwną powagą w głosie wytłumaczył ciemnowłosy.

Wtedy w Grudkiewiczu obudziło się niedobre przecucie, ale całkowicie je zlekceważył. Jak niemal każdy człowiek, on również nie wierzył, że akurat jemu i akurat teraz może przytrafić się coś złego czy najgorszego.

– Ojciec by mi pokazał, gdybym w waszym wieku umawiał się po nocach – zauważył tylko.

Chciał nawiązać jedną ze zwykłych samochodowych rozmów, lecz za ple-

cami wyczuwał mur niechętnego milczenia, tak twardy jak cisza nieobecności. Równocześnie poczuł nieprzyjemne osamotnienie. Droga jakoś mu się dłużyła. Nigdy dotąd nie czuł się tak zmęczony pod koniec pracy. Kilkanaście razy kołami druzgotał majowe gwiazdozbiory zastygłe w kałużach, a płåtynina uliczek wokół rynku wydawała się nie mieć końca. Przejechał wreszcie aleję Szymanowskiego i skręcił w ulicę Witkiewicza, która przecinała kraniec miasta wysunięty najdalej na północ. Stały tam ponure czteropiętrowe kamienice, z których wiele czekało na wyburzenie. Nocą posępny nastrój tej ulicy jeszcze narastał, bo latarni było na niej mało i w dodatku nie wszystkie świeciły. Gęsty jak smoła mrok wspinał się po ścianach i sięgał aż do kominów, dlatego bryły kamienic zamieszkałych nie różniły się od tych wymarłych, pełnych wewnętrznej ruiny i bezowocnych wspomnień. Zatrzymał się przy okropnie postrzępionym żywopłocie, pod słabo jaśniejącą latarnią. Poczucie nieprzyjemnego osamotnienia bardziej w nim się pogłębiło. Nim zdążył zdjąć dłonie z kierownicy, w jego czaszce wybuchnął jaskrawy ogień. Odwrócił się z grymasem bólu zmieszanego ze zdumieniem i wówczas kolejne uderzenie złamało mu nos. Krzyknął, a raczej ochryple jęknął, zasłaniając twarz drżącymi palcami. Pod następnymi chaotycznymi ciosami zwałił się bokiem na prawe siedzenie i znieruchomiał. Blondyn szybko wysiadł i wsunął w żywopłot okrwawioną metalową rurkę, po czym zwymiotował w pobliżu. Wspólnymi siłami przesunęli bezwładne ciało w taki sposób, aby ciemnowłosa mógł swobodnie prowadzić. Nie spiesząc się skręcili w ulicę Krzemienienną i niebawem zostawili za sobą ostatni budynek północnej dzielnicy. Miękkie smugi przednich świateł najpierw padały na popękany asfalt, później na betonowe, sześcioboczne płytki, by następnie ślizgać się po gliniastej drodze. W pewnej chwili zbczyli w lewo i wolno pojechali pełną ścieżką.

Chyba jeszcze zanim zjechali z drogi, Grudkiewicz odzyskał przytomność. Napłynęła od razu pełną falą, jak gdyby ktoś w ciemnym pokoju nagle odsłonił okno zalane słońcem. Nogi jego były mocno przykurczone, a pod skronią i piersiami miał tapicerkę siedzenia. Momentalnie uzmysłowił sobie swoją sytuację. Pomimo bólu, który pulsował mu w głowie i jak rozpalona sztaba przylgnął do twarzy, myśli pracowały w nim precyzyjnie i ze spotęgowaną szybkością. Oni są przekonani, że jest martwy i na pewno wiozą go tam, gdzie mógłby długo przeleżeć nie zauważony. Nieznacznie otworzył prawe oko, zapuchnięte i oblepione krwią. Ciemnowłosa, gładko uczesany chłopak spokojnie prowadził. Jego szlachetny profil emanował powagą i pewnością siebie. Grudkiewicz wiedział, że musi spróbować uciec, a uciec może tylko samochodem. Najważniejsze, żeby wykorzystał odpowiedni moment.

Jasnowłoso, niewidoczny dla Grudkiewicza, garbił się w sposób właściwy człowiekowi wysokiemu i chudemu. Z pochyłą pobladałą twarzą zdawał się martwo spoglądać na swoje dłonie, okrwawione i bezwładnie leżące na kolanach. Wystające łopatki drżały mu przy każdym oddechu.

Niedaleko za miastem znajdowało się dość duże, nieczynne wyrobisko piasku. Było zarośnięte krzewami i różnym zielskiem, a mieszkańcy pobliskich wiosek pozbywali się tutaj śmieci. W miejscu, w którym ścieżka ocierała się o południową krawędź wyrobiska, ciemnowłoso zahamował z taką – świadomą czy nieświadomą – gwałtownością, że jasnowłoso, rzucony do przodu, ocknął się z odrętwienia i rozejrzał przestraszony.

Grudkiewicz w napięciu oczekiwał chwili, gdy zostanie sam w samochodzie. Kiedy to nastąpiło, zerwał się, aby przede wszystkim pozamykać wóz od wewnątrz. To zerwanie się było oczywiście jedynie subiektywnym odczuciem jego przewrażliwionej świadomości, która właśnie pragnęła wielkiej dynamiki ruchów. Podkurczone nogi zdążyły mu już ścierpnąć, a ręce i górna część kręgosłupa okazały się nienaturalnie ciężkie. Mimo to spóźnił się minimalnie. Powietrze rozdarł krzyk jasnowłosego, który kątem oka zauważył, co się dzieje. Ciemnowłoso, dotąd spokojny i powolny, targnął się półobrotem w bok jak podrażniony wąż i szarpnął lewe przednie drzwi. Zbyt późno. Stawiły kamienny opór. Bez namysłu pociągnął za tylne. Zdążył. Wskoczył do wnętrza. Dotykając plecami dachu, przechylił się nad oparciem i palcami, niby żelaznymi szponami, wczepił w ramiona Grudkiewicza, który kurczowo przyciskał piersi do kierownicy, jakby wciąż istniała możliwość ucieczki. Nie mogąc ruszyć napiętych barków, twardych jak zakrzepły beton, ciemnowłoso ścisnął mu szyję mokrą od potu. Grudkiewicz zwałił się na siedzenia. Charcząc, miotając się, rzucając kolanami, odrywał, wyłamywał duszące palce, wyslizgiwał się spod paznokci i krzyczał, kiedy tylko mógł, a w końcu mocno zacisnął zęby na dłoni tamującej mu oddech. Jasnowłoso, dopiero gdy usłyszał nabrzmiały bólem i wściekłością wrzask kompana, otrząsnął się z osłupienia i pospieszył mu z pomocą. Grudkiewicz nadal zaciekle bronił się całym ciałem. Wręcz ze zwierzęcym instynktem wykorzystywał ciasnotę nadwozia i nieuporządkowaną, zajadłą szarpaninę trzech rąk, które usiłowały go zakleszczyć, zadusić, zmiażdżyć. Ale zaczęło mu brakować powietrza i szybko stracił siły. Wtedy udało się jasnowłosemu uchwycić jego nadgarstki i wykręcić je do łopatek. Wszyscy trzej ciężko dyszeli. Ciemnowłoso lewą ręką, bo prawa mu krwawiła od ugryzienia, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął nieduży scyzoryk. Krzywo przechyłony między oparciami, z przerażającym, szklanym blaskiem w ładnych oczach, posługując się przednimi zębami roz-

łożył ostrze. Następnie, trzymając trzonek w ustach, powoli rozsunął zamek w kurtce szarpiącego się na próżno Grudkiewicza, który nagle głośno i ochryple westchnął, szeroko otworzył oczy i nieruchomo zwiesił głowę. Jasnowłosy z niemałym trudem wyciągnął go z samochodu i zepchnął do wyrobiska. Jak szmaciana kukła stoczył się ze skarpy. Głucho trzasnęły drzwi. Głośniejsze zawarczała silnik. Samochodowe światła z wolna się oddaliły.

Cisza, poprzedzająca świt, stopniowo się pogłębiała. Gwiazdy po kolei znikwały, ogarniane jasnością narastającą od wschodu. „Odjechali...” – pomyślał leżąc na wznak. Nie potrafił uwierzyć, że wciąż żyje. W czaszce wirował mu pusty szum, jakby staczanie się jeszcze nie ustało. Niepewnie poruszył ramieniem wykręconym pod plecy. Drugą rękę przyłożył do piersi. Koszula była tu całkiem mokra i lepka. Zbliżył zamoczoną dłoń do twarzy i obrócił przed oczami. W słabym świetle nadchodzącego brzasku lśniła jak umazana smołą. „Nie umiał mnie zabić. Nie trafił w serce. – myślał z gorzką satysfakcją. – Ale i tak wcześniej czy później wylatuję z gry. Jest mało prawdopodobne, żeby ktoś mnie tu znalazł, zanim się wykrwawię. Czemu muszę skończyć tak głupio? A co potem? Potem...” Tok jego myśli urwał się gwałtownie, jak gdyby w poprzek strumienia runęło potężne drzewo. Jednocześnie, nie wiadomo skąd, może z podglebia świadomości, wypłynęły dziecinne słowa połączone rymem i zaczęły rozbrzmiewać mu w duszy: „Razu pewnego poszły w las trzy gąski, szyjki białe, a bury wilk marzył w ten czas, żeby je połknąć całe”. Była to zwrotka pierwszego wiersza, którego Mariuszek nauczył się na pamięć. Przypomniawszy sobie wyraźnie jego radośnie wyprostowaną, szczupłą postać, założone w tył ręce i dumnie uniesioną twarzyczkę, kiedy jednostajnym głosem, często gubiąc w oddechach poszczególne sylaby, łączył rymy z rymami. „Razu pewnego poszły w las trzy gąski, szyjki białe... Muszę się ruszyć... wstać... próbować się stąd wydostać... Chyba mam jeszcze dosyć siły” – pomyślał wypełniony nagłym przerażeniem. Wysunął spod siebie lewą rękę i, pokonując drewniany bezwład kręgosłupa, usiadł. Początkowo wydawało mu się, że ziemia się pod nim chwieje i gdzieś zapada. Oddychając z wysiłkiem przez rozchyłone, wysuszone gorączką usta, przykleknął, wstał chwiejnie i rozejrzał się po dnie wyrobiska. Pierwsze, szaroróżowe blaski świtu już tu docierały. Oblane nimi piaszczyste fałdy były porośnięte zwartymi kępami bylicy, pokrzywy i jasnoty, wśród których rozkładały się dorodne liście łopianu, barszczu i popłochu. Nad wszelkim tym zielskiem górowały krzewy głogu, obficie pokryte kwiatami przypominającymi świeży śnieg. Od liściastej gęstwy odcinały się gdzieniegdzie sterty przeróżnego gruzu, rdzewiejących puszek, osmalonych garnków, potłuczonych słoików,

zużytych opon, potrzaskanych muszli klozetowych, papierowych worków ze skamieniałym cementem i szmat nasiąkniętych olejem. Dalej, za krzewami, szarzały przeciwległe stoki. Musiał tam być jakiś łagodny wjazd. Ale przejście przez te wertepy, jeśliby w ogóle zdołał to zrobić, zajęłoby zbyt wiele czasu. Daleko by potem nie uszedł.

Do końca zapiał kurtkę, aby nie podrażniać rany, i ruszył ku skarpie, z której go zrzuciono. Sięgając wysokości drugiego piętra i przypominając wewnętrzną ścianę olbrzymiej misy, naprawdę stroma stawała się dopiero u samej góry. Przygotowany na ostry ból, rozpoczął upartą wędrówkę wzwyż. Wędrówka ta, jak przewidywał, była coraz trudniejsza, jak gdyby na jego barki dokładano niewidzialne ciężary. Ale już uwierzył, że ma jeszcze jakąś szansę. Nieustępliwie szukał butami i dłońmi jakiegokolwiek zaczepienia, wbijał palce w wilgotną glinę i łamał paznokcie na żwirze. W miarę jak nachylenie stoku rosło bardzo pomocne okazywały się rośliny. Chwytał je całymi garściami. Niektóre z chrzęstem wyrывał, inne wytrzymywały i posuwał się wyżej. Wreszcie przyszło mu pokonać najtrudniejszą przeszkodę – wysoki na metr, osypujący się i prawie pionowy stopień. Kto wie, czy by sobie poradził, gdyby nie głóg rosnący w pobliżu. Uważając, żeby nie utracić bezpiecznego przywarcia do skarpy, nieco zesunął kurtkę z prawego ramienia i naciągnął rękaw na dłoń. Tak osłoniętą ręką pochwycił trzy najbliższe gałęzie otulone białą pianą kwiatów. Wiedząc, że kolce i tak go dosięgną, zacisnął zęby, wstrzymał oddech i podciągnął się ponad krawędź wyrobiska. Zrobił jeszcze kilka ruchów nogami, przekreślił się na plecy i z ulgą poczuł pod sobą poziomy grunt. Cały zlany potem, łapczywie wdychał chłodne, poranne powietrze.

Niebo rozciągało się nad nim tak szeroko jak nigdy dotąd. Było on przeniknięte turkusowym światłem, a jedynie na dalekich, zachodnich obrzeżach nadal broniły się granatowe strzępy nocy z ostatnimi gasnącymi gwiazdami. Wiedział, że teraz musi przejść sto kilkanaście metrów do ulicy Krzemiennej, a ulicą Krzemienną musi dojść do stojącego przy niej, starego i dziwnego domu, bo ten właśnie dom był znacznie bliższy niż miasto. Z pewnością ktoś mu otworzy. Żeby nie tracić czasu, już po chwili oderwał tułów od ziemi. Ból przeszył go aż po krtań. Zaciskając szczęki, stanął na chwiejnych nogach. Przygarbiony, z dłonią przyłożoną do lewej piersi, ze spuszczoną głową mokrą od potu, zaczął nisko wlec stopę za stopą. Przypominał niewolnika orzącego kamienistą rolę. „Za wszelką cenę muszę utrzymać równowagę... Nie dać się bólowi... Chyba mocniej krwawię... Ale nie dam się i jakoś wytrzymam... Czemu miałbym nie wytrzymać?.. Miałem rację... Będzie piękny

słoneczny dzień... Oby tylko do Krzemiennej, a potem do tamtego domu... do drzwi... I zadzwonić... – myśli niepostrzeżenie zbierały mu się na spękanych, rozchylnych wargach i wkrótce zmieniały w słowa wymawiane chrapawym, ledwo dosłyszalnym głosem i przerywane szmerzącymi oddechami. – Trzymać równowagę... Trzymać... Zdaje się, że zostawiam ślad... łowiecki... Jeśli mnie później znajdą... będą wiedzieć... że przeszedłem stąd aż dotąd... I wszystko... I nic więcej... bo papiery zostały w samochodzie... Znajdą mnie i powiedzą... Przeszedł stąd aż dotąd... I nic poza tym... Ale nie... Nie znajdą... Wytrzymam... Dojdę i zadzwonię...”

Ścieżka nareszcie połączyła się z drogą, czyli z ulicą Krzemienną. Wstąpiwszy na nią, potknął się i upadł, chociaż akurat tu nie było żadnego zdradliwego kamienia. Czołem niemal uderzył w glinę, a oczy zaszyły mu łzami. Podparł się rękami i, chciwie oddychając, usiadł bokiem. Obojętnym spojrzeniem ogarnął miasto. Leżało w dole, w przymglonym oddaleniu, podobne do rozległej, szarej makiety, jeszcze opustoszałe, ciche, uśpione. Jak na dłoni widoczne były poszczególne kamienice z brudnymi, kanciastymi dachami, siatka ulic i korony nielicznych drzew północnej dzielnicy. Wiedział, że ta bliskość jest złudzeniem wywołanym spadkiem terenu i że od najbliższych miejskich budynków dzieli go sześćset, może siedemset metrów, których przejść już nie byłby w stanie. Obrócił się i skierował wzrok na północny zachód, gdzie na łagodnie wypukłej linii wzgórza stała samotnie, niby porzucony klocek, czerwona bryłka domu. Znajdując chwiejny punkt równowagi, podniósł się ciężko. Znowu przегięty w pól, jak gdyby ciągnąc niewidzialny pług, powlókł się niedoleżnie. Z każdą minutą był coraz mocniej rozchwiany i pochylony. Często kroki płały mu się zygzakowato i musiał się całą siłą woli bronić przed upartym zbaczaniem w lewo. Ból trochę w nim zelżał, przemieniając się stopniowo w coś tępego i drętwego. Ale dom z czerwonej cegły przybliżał się nieprzerwanie. Z początku najwyraźniejsze były rosnące przy nim topole. Ich strzeliste wierzchołki tonęły w czerwieni budzącego się dnia i, wbrew swej naturze, nie chwytały nawet najlżejszego wiatru. Potem całkiem dobrze było widać rozmieszczone symetrycznie okna oraz szyby półkolistej werandy, napełnione blaskami świtu i układające się w siateczkowaty wzór podobny do żyłek na skrzydle ważki.

Droga zaczynała się już upodabniać do zwykłej polnej ścieżki. Przybywało jej kolein wrytych przez deszcze. Grudkiewiczowi zdawało się, że traci ona naturalną sztywność, stając się czymś elastycznym i chybotliwym jak brezent rozpięty na ramach albo jak sznurowy most wiszący nad przepaścią. Po raz drugi źle postawił stopę i gwałtownie przewrócił się na lewe ramię.

Nie odczuł jednak ani dynamiki tego upadku, ani bólu. Przeciwnie, czuł, że upada niezwykle wolno i miękko, w jakimś – graniczącym z ciszą – dalekim poszumie, z taką łagodnością, z jaką płatek śniegu spada na puszystą, śnieżną wydmnę. Połową opuchniętej, gorącej twarzy przyłgął do wilgotnej ziemi. Pod ciężkimi powiekami tańczyły mu fioletowo czarne strzępki. Uniósł czoło i zobaczył, że od upragnionych drzwi dzieli go nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Łokcie skierował ku górze, dłonie oparł na glinie i raz jeszcze się podniósł. Zaledwie zrobił krok, nogi samoistnie się pod nim ugięły i osunął się na kolana. Pragnął krzyczeć, wołać jak najgłośniej, lecz był już zbyt słaby, by wypowiedzieć choćby jedno słowo. Więc tylko bezgłośnie poruszał suchymi wargami i uparcie wpatrywał się w stojący naprzeciw niego dom. Wydawało się, że wołającym spojrzeniem usiłuje przeniknąć do głębi czerwień ścian, niewzruszenie milczące okna oraz werandę, która – niby ogromne, wypukłe zwierciadło – odbijała pierwsze promienie wschodzącego słońca. Gdy również na to zabrakło mu siły, położył się na bok pośrodku rozświetlonej porankiem drogi, kładąc rękę pod prawą skroń. Wszelkie jego myśli leniwie zastęgały i rozpraszały się bez najmniejszego lęku. Nie stawiając jakiegokolwiek oporu, pozwalał odpływać świadomości, przekonany, że oto spokojnie zasypia w drewnianym dzieciennym łóżeczku, zrobionym przez ojca trzydzieści siedem lat temu.

III.

Trzeba było nieustępliwego naciskania dzwonka, żeby tamtego majowego poranka obudzić Konstancję Malicką. Nagrzane snem stopy wsunęła w pantofle obszyte króliczym futerkiem, włożyła pikowany, jasnozielony szlafrok, pospiesznie ułożyła rozczochrane, perłowobiałe włosy i wyszła do holu. Spojrzała przez wizjer, przekreśliła dwa solidne zamki i niepewnie otworzyła drzwi. Za progiem stał wysoki, otyły policjant o łagodnych, piwnych oczach. Przepraszył za zakłócenie snu i zaczął spokojnie mówić o czymś, czego zupełnie nie rozumiała. Przytrzymując koronkowy kołnierz szlafroka, patrzyła ze zdumieniem na okrągłą, starannie ogoloną twarz. Gdyby w promieniu

kilkuset metrów znajdował się inny dom, sądziłaby, że pomyłono adres.

– Co się stało? Nic nie rozumiem – powiedziała. – Proszę wejść. Mógłby pan wszystko powtórzyć?

Policjant wszedł i z takim samym spokojem powtórzył prawie każde słowo:

– Jakiś mężczyzna zawiadomił telefonicznie nas i pogotowie. Twierdził, że przed tym domem jest ktoś potrzebujący natychmiastowej pomocy. Nie powiedział, skąd dzwoni, ani nie podał swojego nazwiska. Mamy obowiązek sprawdzać wszystkie takie zawiadomienia. Pojechalśmy i rzeczywiście leżał tutaj młody, ciężko ranny człowiek, prawdopodobnie ofiara napadu. Jeszcze trochę, a całkiem by się wykrwawił. Teraz chyba da się go uratować.

– Wybacz pan, ale wciąż trudno mi cokolwiek zrozumieć – rzekła pełna zdumienia. Nadal jednak jej wysoką prostą sylwetkę cechowało szlachetne opanowanie. – Mówi pan, że tamten ranny człowiek leżał przed tym domem?

– Tak. Jakieś czterdzieści metrów stąd. Zostały ślady krwi.

– Czy coś o nim wiadomo? Jak się tu znalazł?

– Na razie nic nie wiemy. Był nieprzytomny i nie miał dokumentów.

– Jest pan pewny, że telefonował mężczyzna?

– Wiadomość, niestety, się nie nagrała, ale dyżurny bez wątpienia słyszał męski głos.

– No i uważa pan, że telefonowano z tego domu... Zresztą sama bym tak myślała. To przecież najbardziej prawdopodobne.

– Popełniono poważne przestępstwo. Należy wyjaśnić wszystkie okoliczności. Schwytać sprawcę albo sprawców. Muszę zadać kilka pytań osobie, która nas zawiadomiła. Być może jest istotnym świadkiem. Wykonuję tylko swoje obowiązki. Na pewno to pani rozumie – oświadczył z równym, łagodnym naciskiem.

– Naturalnie, że rozumiem. W domu są dwaj mężczyźni – mój syn i mąż. Obaj na górze. Proszę – skierowała się ku schodom. – Syn zwykle śpi wyjątkowo mocno, ale jedynie on mógł zadzwonić, bo mąż jest od blisko trzydziestu lat sparaliżowany.

Na piętrze najpierw zapukała, a potem miękko wsunęła się do pokoju, w którym jej syn i synowa pogrążeni byli we śnie. Policjantowi, stojącemu w taktownej odległości od drzwi, zdawało się, że przeszła przez nie jak duch, wcale ich nie otwierając. Wyszła po chwili, a za nią zjawił się czterdziestoletni, szpakowaty mężczyzna w niedbale przewiązanym, białym szlafroku i w zielonych, rozepchanych łapciach. Policjant z właściwą sobie, spokojną precyzją wytłumaczył mu, o co chodzi. Edward Malicki szeroką, owłosioną

dłonią pocierał twarz zapuchłą od snu i niezdarnie walczył z ziewaniem.

– Nie, nie dzwoniłem. Spałem. Niczego innego nie można ode mnie wymagać w niedzielę o piątej rano – wyznał, podrapał się w szyję i ziewnął przeciągle. – Mówi pan, że tamten człowiek sam przyszedł?

– Tego nie powiedziałem, ale wszystko na to wskazuje.

– Jak wygląda?

– Średniego wzrostu, krótkie, czarne, kręcone włosy.

– Znam paru o takich włosach, ale wszyscy są wysocy – rzekł po następnym ziewnięciu. Usłyszał spokojne przeprosiny i wrócił do ciepłego łóżka, gdzie czekały na niego zaniepokojone, pytające oczy żony.

Policjant zamierzał już zejść z pierwszego schodka, gdy aż do ramion znieruchomiał.

– Mógłbym zobaczyć pani męża? – poprosił.

– Chyba nie przypuszcza pan, że tak po prostu wstał, zszedł do holu, zadzwonił i znowu pokonał te strome schody?

– Chcę go tylko zobaczyć.

– Proszę za mną. Jest na werandzie.

– Na werandzie?

– Zżył się z tym miejscem.

– Umie mówić?

– Nie.

Szklane drzwi otworzyła jak najciszej. Malicki trwał w półleżącej pozycji, starannie okryty śnieżnobiałymi kocami. Nie spał. Jego jasna twarz zawierała w sobie dziwną lekkość i przepaścisty spokój. Spojrzeniem czarnych oczu przywarł do południowego horyzontu. Stała przy nim z prawej strony i płynnym ruchem ujęła jego chłodną, bezwładną dłoń.

– Stasiu, przyszedł pan funkcjonariusz... – powiedziała, kładąc specyficzny nacisk na słowie „funkcjonariusz”. Skierował na nią migotliwe źrenice zlewające się z czarnymi tęczęwkami. – Rozumiem, wszystko widziałeś i jesteś bardzo poruszony całą tą sprawą. Zaraz do ciebie przyjdę – dodała uspokajająco, jakby wcale nie dostrzegając, że żadnego niepokoju w nim nie było.

Spuścił wysuszone, starcze powieki i wówczas rysami twarzy nie wyrażał już nic, jak gdyby wszedł za kotarę. A jego ręka, ogrzana dłonią żony, została na kocu, dokładnie w tym miejscu, w którym leżała poprzednio. Nawet ułożenie bezwładnych palców – przypominające wkleśłą łagodnie muszlę – pozostało takie samo, niezmienione od lat. Policjant przyglądał się wszystkim uważnie, stojąc tuż przy szklanych drzwiach.

– Macie osobliwy problem z tym telefonem – napomknęła w połowie schodów.

– Nasz główny problem to schwytywanie przestępców. Ale prawdę mówiąc, po raz pierwszy spotykam się z tak niezwykłą sprawą – powiedział.

W holu pożegnał się uprzejmie i opuścił dom. Konstancja spoglądała przez firankę, jak odchodzi. Przesunęła trochę chodniczek przy schodach i wróciła na piętro. Na chwilę zatrzymała się przed drzwiami sypialni, zasłuchana w panujący za nimi głęboki małżeński sen, i weszła na werandę. Wszystko było tu zanurzone w miękkiej jak aksamit ciszy i wypełnione różowawym, krystalicznie przejrzystym światłem.

Jasna twarz Malickiego nadal trwała w milczącej nieobecności, skupiającej się na zamkniętych powiekach. Wydawała się utworzona w całości z czegoś nieważkiego, świetlistego, wręcz niematerialnego. Zdawało się, że najlżejszy pyłek nie znalazłby na niej oparcia. Gładki i śnieżnobiały koc na jego piersi ledwo zauważalnie wznosił się i opadał, poruszany tym rodzajem oddechu, który towarzyszy głębi spokojnego snu. Konstancja wiedziała jednak, że on nie śpi i że obserwuje słuchem każde jej poruszenie i stąpanie.

Stanęła przed ścianą z rozmaitej wielkości szyb połączonych wąskimi ramkami. Dlaczego czasem nawet widok z własnego domu zaskakuje czymś zupełnie nowym? Łąki, przecięte brudnożółtą drogą, były jakoś po nowemu srebrzystoszare od nocnego deszczu. Krzewy głogu i czarnego bzu wypuszczały wyjątkowo długie, niemal czarne cienie, które jakby pragnęły się oderwać od materialnych zaczepów i pomknąć ku zachodowi. A niebo lśniło nigdy przedtem nie widzianym odcieniem błękitu aż po sam horyzont.

– Będziemy mieli piękny dzień, Stasiu – rzekła, ciągle zapatrzona w krajobraz za szybami. – Jeszcze nie widziałam tak czystego nieba. Wczoraj pod wieczór zanosilo się na burzę. W nocy pewnie przeszła, prawda? Spałam twardo i nie słyszałam grzmotów. Nie było ci chłodno? – odwróciła się i zbliżyła do niego. Jej spojrzenie natychmiast znieruchomiało na jego teraz otwartych oczach, patrzących spokojnie, bez jakiegokolwiek ruchomego błysku. – Wiem, wiem... Powinnam się jeszcze położyć. Zaraz pójdę do łóżka, ale nie wiem, czy usnę.

Pochyliła się i zaczęła poprawiać okrywające go koce, jakby mogły się przez noc samoistnie rozluźnić. Lecz tuż przy miękkim, specjalnie wygiętym podnóżku róg i brzeg koca były jakoś nierówno założone. A przecież zawsze jak najstaranniej otulała mu stopy, bo szybko marzły, i była pewna, że ostatnio zrobiła to równie starannie. Po dawnemu więc, ściśle i gładko, owinęła jego nogi. Odeszła bezszelestnie. Ale nie zeszła ze schodów. Z palcami

na dębowej poręczy, przystanąła, a dziwny cień przemknął po zmarszczkach na jej twarzy. Wróciła powolnym krokiem i usiadła na wiklinowym krześle blisko męża, kładąc na kolanach swoje pomarszczone, lecz wciąż szlachetnie ukształtowane dłonie. Przez ponad trzy minuty siedziała tak – milcząca i nieruchoma – a poranne słońce rozpałało miedzianozłote blaski na jej perłowobiałych włosach i pikowanym szlafroku. Patrzył na nią łagodnym i pozabawionym wszelkiej migotliwości wzrokiem, spodziewając się, co od niej usłyszy.

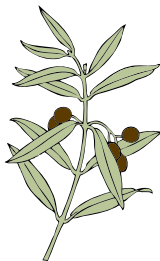
– I co mam teraz zrobić, Stasiu? Jak mam z tym żyć? To mnie przerasta...
– powiedziała cicho, z lekka tylko pochylając głowę.

W jego spokojnych oczach wyczytała odpowiedź i zarazem prośbę: „Niech zostanie to między nami. Potraktujmy to jako coś, co nigdy naprawdę nie zaistniało. Tak będzie najlepiej dla nas i dla domu”.

– Tak będzie najlepiej – powtórzyła i z wolna się uspokoiła, czując, że wszystko zaczyna się w niej stopniowo porządkować.

Jeszcze w tym roku, w sierpniu, wkrótce po wypisaniu Grudkiewicza ze szpitala, stary Malicki zmarł. Stało się to nocą niepostrzeżenie dla domowników i chyba też dla niego samego. Miasto nie zauważyło tej śmierci podobnie jak nie zauważyło Malickiego, gdy przez ćwierć wieku był sparaliżowany.

Dom z czerwonej cegły stał niezmiennie na wzgórzu za miastem, otoczony ciszą i olbrzymimi topolami. Zmieniła się tylko jego dziwaczna weranda, bo odtąd pozostała sama z sobą i z tajemnicą.



Szalik

W pokoju od dawna panował półmrok wymieszany z miękkim światłem ulicznej latarni. Zapewne znowu nie uśnie, bo ponownie będzie roztrząsał tamto żalosne nieporozumienie. Jak mogło do niego dojść? Był z Klaudią wystarczająco długo, by wszystko między nimi dobrze się dopasowało i zmieniło w coś naprawdę trwałego. Otwierały się nawet perspektywy wspólnego domu. I naraz – właściwie nie wiadomo, z czyjej winy – cała ta trwała więź zerwała się jak most nad wzburzoną rzeką. Nie potrafił znaleźć sposobu, aby ją naprawić. Ale nie umiał też do końca uwierzyć, by runęła nieodwołalnie.

Stojący w przedpokoju, wielki zegar przytłumionymi, rdzawymi uderzeniami znaczył następne nocne godziny i połowy godzin, a on wciąż daleki był od snu. Jednak po trzeciej zaczęły mu niepowstrzymanie ciężać i opadać powieki. Stopniowo plątał się w myślach i stawały się one coraz wolniejsze, wzajemnie się zlewały, tłumiliły i rozwiewały, a razem z nimi przyjemnie gdzieś ginęło poczucie realnego czasu.

Usłyszał pukanie. Trzy wyraźne, ani nie za ciche, ani nie za głośne stuknięcia. Wolno otworzył oczy. Pokój był zamknięty i wypełniony dziwną, przymgloną poświatą. Pukanie się powtórzyło. Przeszedł go dreszcz głębokiego zdumienia, bo lęku prawie nie czuł. Przecież tylko mama – odkąd więcej w nim było mężczyzny niż dziecka – miała w zwyczaju pukać do jego pokoju. Uniósł się na łokciu i zapytał niepewnie:

- To ty, mammo?
- Mogę wejść? – odezwał się ciepły głos zza drzwi.
- Zawsze możesz wejść.

Kiedy bezszelestnie weszła, jej młodość i zapamiętana z dzieciństwa uroda zdumiały go jeszcze bardziej. Miała na sobie lśniącą, kremowożółtą su-

kienkę do kolan, tę samą, w której jako dwudziestoparolatka lubiła chodzić z nim w słoneczne popołudnia na spaceru brzegiem morza. Teraz również wspaniale opalona i pachnąca morskim wiatrem, zdawała się wracać z takiego właśnie spaceru.

– To naprawdę ty, mamo?

– Czyżbyś wątpił, że to ja? Nie wychowałam cię na materialistę – rzekła z uśmiechem i siadła na brzegu łózka. – Powinieneś się cieszyć z moich odwiedzin, a robisz minę niewiernego Tomasza.

– Cieszę się... Ale...

– Ale co? Czy wierzysz w te bzdury, że umieramy w całości? Czujesz moją ciepłą rękę? – pogładziła go po policzku.

– Więc to prawda... Przychodzisz stamtąd... Powiedz, jak tam jest?

– Jak jest? Nie będę ci o wszystkim mówić. Chcę, żebyś kiedyś był przyjemnie zaskoczony.

– Chociaż powiedz w dwóch słowach... Proszę.

– Jest prawie tak jak tutaj, prawie, bo nie ma tych pospolitych ziemskich kłopotów. Czy nie świadczy o tym mój wygląd? Podobam się tobie?

– Wyglądasz tak wspaniale, że jestem gotów się zakochać jak się kochałem będąc chłopcem. Byłem wtedy do szaleństwa zazdrosny o ciebie – wyznał biorąc w obydwie ręce jej dłoń. – Dlaczego przez te lata ani razu mnie nie odwiedziłaś. Przecież wiesz, że zawsze tęsknię za tobą.

– Wiem. Ale czy bardzo mnie potrzebowałaś? Teraz potrzebujesz, bo wydaje ci się, że rozsypał się twój świat. Dlatego przyszedłem.

– Czemu mówisz: „wydaje ci się”? Czyż tak nie jest? – spytał.

– Oczywiście, że nie jest.

– Chyba nie uważasz, że to nic nie znaczy? Klaudia naprawdę ode mnie odeszła. Zupełnie nie umiem sobie z tym poradzić. Czemu się uśmiechasz?

– Jakże słabo orientujesz się w kobiecym świecie. A tak się starałam, żebyś się tego nauczył. Obydwoje – ty i Klaudia – po prostu się kochacie. Ale jeszcze nie ma jednej miłości. Wciąż przeważają dwie. Stąd cały ten przemijający problem.

– Nie rozumiem... Myślisz, że Klaudia wróci?

– Naturalnie, że wróci.

– Poczujesz mnie, ale to wcale nie jest takie pewne...

– Jak masz zamiar dalej się niepotrzebnie zadreć, twoja rzecz. Los przyniesie wam poważniejsze problemy. Jeśli nie pokonasz skłonności do pesymizmu, szybko złapiesz pierwszą siwiznę, a może nawet doczekasz się jakiego zawału. Po co ci to?

– To mówisz, że nie mam się czym przejmować?

– Mamy przeważnie mają rację, a już zawsze mają rację, kiedy na dzieci patrzą z gwiazdnej perspektywy... Pamiętasz wiersz, który ci wyhaftowałam na szaliku? Kończyłeś wtedy osiemnaście lat. Chciałam dać ci coś oryginalnego, coś takiego, czego jeszcze nie dostał na osiemnaste urodziny żaden chłopak na świecie. No i wymyśliłam szalik z wyhaftowanym wierszem. Pamiętasz ten wiersz?

– Starannie go przechowuję. To jedna z najcenniejszych pamiątek po tobie. Zaraz pokażę...

– Nie trzeba. Tylko powiedz.

Chwilę poszukał dokładniej w pamięci, zaczerpnął powietrza i spokojnie wyrecytował:

*Życia nie wzięłeś, aby widzem w nim być,
Bo nie jest ono obrazów galerią.
Masz je zdobywać do końca pełnią sił,
Aktywnym sercem i zawsze na serio.*

*Życie ma w sobie wiecznie trwałą cechę:
Na smutnej glebie smutne rodzi grona,
Lecz odpowiada na uśmiech uśmiechem,
A na serdeczność otwiera ramiona.*

– Zapamiętałeś każde słowo! – powiedziała z promienną twarzą. – Ale, ale... – westchnęła, powoli wstała i znacząco spojrziała w górę. – Już mnie wzywają. Muszę lecieć.

– No wiesz, mam... Nie zdążyłem się tobą nacieszyć. Zostań jeszcze trochę – rzekł, nadal trzymając w rękach jej dłoń.

– Nie mogę. Bądź cierpliwy. Spotkamy się na pewno. Do tego czasu pamiętaj: wszelkie tutejsze zmartwienia nie są warte złamanego grosza.

Pochyliła się, tkliwie pocałowała go w czoło i, nim zdołał się spostrzec, łagodnie wysunęła rękę z jego palców. Kiedy z młodzieńczym wdziękiem wychodziła z pokoju, chciał pójść za nią, lecz jakaś przygniatająca siła unieruchomiła go w pościeli. Zaczął się szamotać z niewidzialnymi więzami, próbując się z nich wyplątać. I wówczas – od razu z pełną świadomością, spocony i ze łzami na twarzy – się obudził.

Pokój już jaśniał od łagodnego blasku świtu, a stary zegar po dawnemu chrząścił i szeleścił w przedpokoju. Przez parę chwil ze zdumieniem się zastanawiał nad niezwykłością przeżytego właśnie snu i nad głębią swojej

wyobraźni. Zatrzymawszy myśli przy wspomnianym we śnie szaliku, zapragnął go ujrzeć i poczuć w dłoniach jego miękkość. Jednak nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go położył. Zabrał się do szukania. Szalika nigdzie nie było. Postanowił szukać staranniej po śniadaniu i wrócił do łóżka.

Za oknem szumiała ulewa. Skupił uwagę na uderzeniach kropel o parapet i znów niepostrzeżenie usnął. Zbudziło go dzwonienie do drzwi. Z niechęcią znalazł stopami kapcie, poszedł do przedpokoju, przekręcił zamek i pociągnął za klamkę. Zamarł. W sieni stała Klaudia, mokra od deszczu i pobladła z zimna.

– Wpuścisz mnie? – spytała z delikatnym uśmiechem.

– Boże, pewnie. Wejdz – odparł i drżącymi rękami wziął jej walizkę i torbę. – Zaraz zaparzę herbatę i przygotuję gorącą kąpiel. Mocno zmarzłaś?

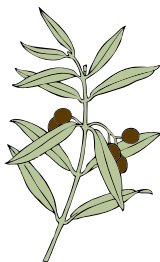
Później, gdy już się ogrzała kąpielą, rozpakowała i zaczęła zapełniać swoje półki w meblach, dała mu ciemnozielony szalik, którego szukał.

– Ciekawe, w jaki sposób twój szalik znalazł się w moich rzeczach? – zapytała.

– Sam chciałbym to wiedzieć. Nie pamiętam, żebym go wkładał do twojej walizki.

– A więc któreś z nas zrobiło to przez nieuwagę.

– Chyba tak...



Na plaży

W otwartym oknie delikatnie falowała firanka. Zdawało się, że nawet tu dociera łagodny szum morza. Płyta obracała się od dawna w milczeniu. Maria, leżąc na wznak na tapczanie, wydawała się wciąż nieobecna, gdzieś daleko płynąca razem z muzyką. Spokojne tętno wywoływało nieznaczne drgania jej lewej ręki, luźno zwisającej nad dywanem.

Za ścianą czy nad sufitem ktoś trzasnął drzwiami. Powieki Marii drgnęły. Otworzyła zaskoczona oczy, natychmiast nakryła je przedramieniem i na moment znieruchomiała. Podpierając się rękami, powoli i z trudem usiadła. Z ironicznym uśmiechem spojrzała na swoje bezwładne nogi. Niedawno kupione dżinsy leżały na nich doskonale. Nie zmieniając pozycji nóg, odwróciła się, zdjęła płytę z adapteru, włożyła do czerwono złotej koperty i schowała do szafki. Przez chwilę siedziała trzymając dłonie na udach, nieruchoma, zgarbiona, wpatrzona w ścianę przed sobą. Następnie zepchnęła nogi z tapczanu i przyciągnęła wózek inwalidzki. Z grymasem wysiłku na ustach, wykonując przemyślane, dokładne ruchy, usiadła między jego dużymi kołami.

Długopis leżał na najwyższej półce. Tylko matka mogła go tam położyć. Popychając opony, zbliżyła się do meblościanki. Wyjęła z szuflady plastikową linijkę. Wysoko uniosła rękę, aby końcem linijki dosięgnąć długopisu. Zabrakło paru centymetrów. Zaciśnęła palce na poręczy wózka, naprężyła wszystkie mięśnie i – ile tylko była w stanie – się podniosła. Zaczepiła wreszcie o długopis i straciła go z półki. Równocześnie wózek stanął na lewym kole, przechylił się niebezpiecznie i wywrócił. Upadła ciężko jak worek ziemniaków. Drżała skurczona z bólu i przygryzała wargę w bezradnej złości na siebie. Gdy ból zelżał, skupiła resztę sił i znowu znalazła się w wózku.

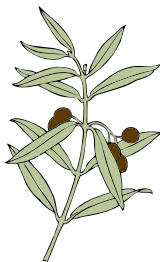
Wzięła papier listowy i siedząc przy biurku, kilkakrotnie zgarniając włosy

z twarzy, zaczęła pisać:

Cześć Zbyszku! Nie wiesz chyba, ile radości dają mi Twoje listy. Nie narzekam na brak przyjaźni, ale właśnie przyjaźń z Tobą cenię sobie najbardziej. Szkoda tylko, że nie możemy się spotkać... Bądź pewien – Twojej fizycznej odmienności nigdy bym nie traktowała jako czegoś utrudniającego nasze spotkania i chętnie bym przyjechała do ciebie. Spotykając drugą osobę staram się przede wszystkim zwracać uwagę na jej cechy wewnętrzne, duchowe, bo tylko one są naszym prawdziwym bogactwem. A Ty, Zbyszku, jesteś człowiekiem niezwykłym, ubogaconym wyjątkowo. Ale szanuję Twoją wolę. Może kiedyś zmienisz zdanie.

Czasem mam takie chwile w życiu, kiedy mogę bez wątpienia powiedzieć, że jest ono po prostu piękne. Tak bym pragnęła podzielić się tym pięknem z Tobą! Wczoraj, wiesz, byłam na plaży, na plaży pustej aż po kres spojrzenia. Szłam boso skrajem morza, a fale chłodną pianą omywały moje nogi. Słońce świeciło tak czysto, że niemal przenikało przeze mnie jak przez bryłę bursztynu. Ciepły, pachnący solą wiatr masował mnie miękkim strumieniem i przewracał moje włosy. Spróbuj sobie wyobrazić to rozkoszne uczucie, gdy stopy po kostki zapadają się w mokrym, nagrzanym słońcem piasku.

Pisała jeszcze długo. Potem starannie złożyła zapisane kartki i wsunęła do koperty. Jutro albo pojutrze przyjdzie listonosz. Jeśli będzie sama w domu, jak zwykle go poprosi, żeby dyskretnie wysłał jej nowy list.



Uśmiech Weroniki

Weronika była ładną dwudziestolatką. W dzieciństwie straciła wzrok. Szybko się z tym zżyła, co więcej, brak wzroku wydawał się jej czymś prawie naturalnym. Życie stara się wyrównywać wszelkie braki, dążąc do doskonałej równowagi. Dlatego pozostałe zmysły oraz pamięć przestrzenna rozwinęły się w niej w stopniu nieprzeciętnym. Dzięki temu poruszała się bardzo sprawnie i z jakimś miękkiem, osobliwym wdziękiem. W jej dużych, zielononiebieskich oczach – mimo że nie dostrzegały światła – trudno było zauważyć jakiegokolwiek oznaki kalectwa. Były one pełne młodzieńczego uroku i połyskujące odbłaskami uczuć. Nigdy ich nie przykrywała czarnymi okularami.

Był maj. Po wielu pochmurnych i chłodnych dniach nadeszła słoneczna niedziela. Weronika włożyła błękitną sukienkę, turkusowe korale i poszła do parku na wiosenny spacer. Była z natury pogodna, ale wtedy, wśród tyłu majowych drzew i kwiatów, czuła szczególną radość i lekkość. Radowała się miękkością wiatru, ciepłem słońca, cieszyła szumem młodych liści, ćwierkaniem wróbli, gwarem rozbawionych dzieci, poszczekiwaniami rozochoconych psów i brzęczeniem uszczęśliwionych owadów. Kolorowym rozświetleniem napełniały ją zapachy kwitnących ziół, bzów, kasztanowców i nagrzanych słońcem iglaków. Właśnie przy pachnącym jałowcu wybrała sobie pustą ławkę. Usiadła, poprawiła włosy, a białą łaskę złożyła i położyła obok siebie. Nieporuszona, z dłońmi splecionym na lewym kolanie wychylającym się spod sukienki, jeszcze bardziej otworzyła się na całe to majowe szczęście ze wszystkimi jego powiewami, zapachami, odgłosami, i do szczęścia tego się uśmiechnęła, nie mogąc go odróżnić od własnego.

Tymczasem naprzeciwko niej, po drugiej stronie klombu obsadzonego niskimi różanecznikami, usiadł czterdziestoletni mężczyzna w szarej, wytartej

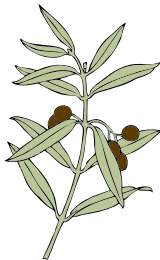
marynarce. Podciągnięte nogawki uwydatniały spiczastość jego kolan i chudość goleni. Twarz miał przedwcześnie podstarzałą i zeszpeconą paroma bliznami, z których największa przecinała lewy policzek i wargi. Z lekka zgarbiony spoglądał wyblakłymi oczami na Weronikę, która – nie wiadomo czemu – patrzyła na niego z uśmiechem.

Niedawno wyszedł z więzienia. Właściwie było to wyjście donikąd, bo okazało się, że domu już nie miał. Poczul się jak ktoś rzucony z jednej celi do drugiej, jeszcze gorszej, bezlitośnie obojętnej i już beznadziejnie samotnej. I oto zjawia się ta ubrana w błękit, młoda kobieta i mu się przygląda, a co najdziwniejsze, przygląda z uśmiechem. Dlaczego patrzy na niego? Dlaczego patrzy i się uśmiecha? Co sprawiło, że to ucieleśnienie wiosny spogląda akurat na niego i uśmiecha się bez jakiegokolwiek dwuznaczności, absolutnie bezinteresownie, naturalnie i promiennie? Co to wszystko znaczy? A może znaczy po prostu to, co widać – bezinteresowność?

Przez parę chwil bezradnie zdumionym spojrzeniem chłonał uśmiechniętą, błękitną postać. Sam się w końcu uśmiechnął, wstał i szybkim krokiem podszedł do Weroniki. Nim zdołała zareagować, dotknął palcami jej łokcia i odezwał się przytłumionym ze wzruszenia głosem:

– Nawet pani nie wie, ile dla mnie zrobiła i jak bardzo jestem pani wdzięczny!.. Proszę nic nie mówić.

Odwrócił się i pospiesznie odszedł, wycierając dłonią łzy.



Pierścionek z koralem

Historia nie oszczędzała Jacka Jastrzębskiego, a raczej on się nie oszczędzał, korzystając z każdej sposobności, żeby brać udział w zawieruchach historii. A że po prostu miał szczęście i mocne zdrowie, zawsze mu się udawało z tych dziejowych burz wychodzić bez szwanku.

Zacząło się od pierwszej wojny światowej, kiedy obok jego skroni świstały kule wystrzeliwane przez rodaków z wrogich okopów. Niemalą odwagą odznaczył się w 1920 roku, walcząc z bolszewikami. Potem jako wyższy oficer wytrwale bronił ojczyzny przed hitlerowcami. Po wrześniowej klęsce kontynuował walkę w szeregach Armii Krajowej. Po wojnie zamierzał walczyć w antykomunistycznym podziemiu, ale szybko go aresztowano i, mimo że nie zdążył zaszkodzić ówczesnej władzy, skazano na karę śmierci. W ostatniej chwili wyrok ten zmieniono na wieloletnie więzienie. Ostatecznie jednak, po paru latach, przywrócono mu wolność. Odtąd zajął się spokojną pracą. Na emeryturze uprawiał działkę, a odkrywszy w sobie literacką żyłkę, pisał wspomnienia i żartobliwe wiersze. Starzał się bardzo wolno, ciągle zachowując bystrość umysłu i dobrą fizyczną sprawność.

Podobno śmierć musi na takich ludzi wyjątkowo długo i starannie ostrzyć kosę. A naostrzoną lubi czasem tylko przymierzyć, zanim zrobi to decydujące cięcie...

Któregoś dnia, mając już po osiemdziesiątce, szedł do najstarszej córki na czwarte piętro. Niemal pod jej drzwiami poczuł bolesny ucisk w piersi i zasłabł. Nieprzekupna medycyna stwierdziła groźną niewydolność krążenia. Po raz pierwszy w życiu znalazł się w szpitalu. Bronił się tam jak mógł przed dłuższym leczeniem, ale liczna rodzina nie dała za wygraną. Z początku odwiedzano go często. Później wizyty stawały się coraz rzadsze. On tymczasem

słabl i mizerniał, jakby – zgodnie z jego słowami – szpitalne łóżko wykradało mu całą moc życia.

Doczekał sporej gromadki wnuków, lecz tylko jeden z najmłodszych, siedemnastoletni Kamil, nie przestawał go odwiedzać regularnie. Chłopak ten był bardzo inteligentny, energiczny, odważny i już wtedy dobrze zbudowany. Wszystko wskazywało na to, że właśnie on – jak nikt inny z rodziny – wdał się w dziadka Jacka. A staruszek to potwierdzał, darząc Kamila szczególnym uczuciem i mawiając, że jedynie w tym chłopcu, niby w czystym zwierciadle, dostrzega odbicie swojej młodości.

Pewnej wiosennej niedzieli Kamil dłużej niż zwykle był u staruszka w szpitalu, słuchając jego wspomnień. A umiał dziadek Jacek opowiadać jak mało kto i nie można było tym opowieściom nie wierzyć, mimo że niekiedy wydawały się nieprawdopodobne. Tuż przed szesnastą zjawiała się pielęgniarka – potężna kobieta o brwiach naznaczonych cienką, gwałtownie się wznoszącą kreską. Oświadczyła ze stanowczym naciskiem, że chory się już dosyć nagadał i powinien odpocząć. Udało się wyprosić u niej jeszcze dwadzieścia minut. Grubym palcem pokazała swój wielki czarno złoty zegarek i odeszła.

– Ale sekutnica! – zaskrzeczał stary. – To zostało nam dzisiaj dwadzieścia minut, tak?

– Chyba tak, dziadku. Może teraz ja spróbuję coś opowiedzieć?

– Nie, kochany. Dopóki język mam wystarczająco mocny, ty będziesz słuchał. Mam jeszcze tyle do opowiedzenia, a chciałbym zdążyć opowiedzieć ci chociaż o najważniejszych rzeczach. To na starość mój jedyny przywilej i obowiązek. Słyszałeś już, jak to pierwszy raz się zakochałem?

Kamil zastanowił się i odparł:

– Jeśli sobie przypominam, to nie.

– A widzisz. Nie słyszałeś. A pierwsza miłość to bardzo ważna rzecz. Tak jak ja zawalisz sprawę, i nie da ci już nigdy spokoju...

– To dziadek zawalił sprawę? Ale przecież z babcią żył dziadek szczęśliwie...

– Z babcią od razu wszystko wyszło wspaniale. Ale chyba nie myślisz, że przed nią żadna królowna mną nie zaważnęła? Szczerze mówiąc, niech mi dusza babci wybaczy, tamta przed babcią była bliższa mojemu sercu, chociaż za obiema bez różnicy poszedłbym na koniec świata.

– A kim była tamta przed babcią?

– No właśnie... Posłuchaj uważnie i potraktuj tą historię jako ostrzeżenie. Było to na rok przed pierwszą wojną światową. W dziwnym państwie Franciszka Józefa żyło się całkiem znośnie. Miałem wtedy osiemnaście lat

i cieszyłem się z tego tak, jak gdybym znajdował się u wrót jakiejś pasjonującej krainy. Na południowym krańcu naszego miasta, tam gdzie teraz jest dworzec autobusowy, stał dom opleciony dzikim winem. Mieszkała w nim ciocia Marta, kuzynka mojego taty. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wzięła ślub z mało znaczącym austriackim urzędnikiem, Jakubem Bienem, raczej niezycliwie patrzono na to małżeństwo i nie wrócono mu dobrze. Ale czy można się było temu dziwić? Związały się same przeciwieństwa. Ciocia wyróżniała się szlachetną urodą, którą umiała podkreślić gustownym strojem. Pochodziła z dość zamożnej rodziny o patriotycznych tradycjach i była głęboko wierzącą katoliczką. Jakub Biene był niski, łysawy, z lekka zgarbiony, a do osób dobrze sytuowanych nie należał. Wprawdzie chodził w niedzielę do kościoła, ale czuł się daleki od wiary. Wpływ na to wywarły idee socjalizmu, które go nieodparcie pociągały, czego jednak nigdy nie wyraził w czynach. I właśnie związek tych dwojga ludzi przetrwał długie lata, do końca w szczęśliwej harmonii. Odkąd cokolwiek w życiu zacząłem pojmować, wiedziałem, że nie mogło być inaczej, bo po prostu ich dobre dusze pasowały do siebie jak połowy tego samego chleba.

Mieli dwie córki – Zuzannę i Marynię. Zuzanna była o rok ode mnie starsza, Marynia – o rok młodsza. Przyjaźniliśmy się od dzieciństwa, kiedy z naszych zabaw wracałem domu, żalowałem, że nie są moimi siostrami, bo chciałem z nimi być przez cały dzień. Obie były bardzo ładne, a rosnąc, stawały się coraz ładniejsze. I oto, zupełnie nie wiedząc kiedy, zakochałem się w Maryni. I to jak się zakochałem! Nieustannie myśląc o niej, gotów byłem jak ślepiec wpaść w samo południe na pierwsze lepsze drzewo czy walnąć nosem w latarnię. Prawdziwa choroba...

– Czemu dziadek pokochał akurat Marynię? Czemu nie wybrał Zuzanny?

– Czemu? W Maryni było coś uparcie kapryśnego i zarazem dobrodusznego, jakaś wzbudzająca zaufanie i jednocześnie dumna tajemniczość, która, niby skalna ściana, cierpliwie czeka na śmiałka chcącego ją odkrywać i zdobywać. I tajemniczość ta mnie pochłonięła. A musisz wiedzieć, że w okolicy nie było skały, na którą bym się nie wspiął. Zuzanna zaś, jak mi się wtedy zdawało, w duszy skrywała tylko ogród, piękny, ale położony na równinie. A mnie takie ogrody, chociażby z najbardziej zadbanymi alejami, nie interesowały. Ale, wyobraź sobie, wszystko się niebezpiecznie poknociło, bo Zuzanna zaczęła się we mnie kochać, oczywiście bez wzajemności, której z taką niecierpliwością oczekiwała.

– A ty, dziadku, jak się domyślam, nie mogłeś się doczekać odwzajemnionej miłości Maryni.

– Byłoby pół biedy, gdybym wiedział, że nigdy się jej nie doczekam. Pocieriałbym i dałbym spokój. Sęk w tym, że niczego nie byłem pewny i to podtrzymywało moją nadzieję. Przypuszczałem, że Marynia świetnie zdaje sobie sprawę ze wszystkiego i że sama w swoim sercu zaczyna już powoli odpowiadać na moją miłość, a tylko z jakiegoś figlarnego powodu nie daje tego po sobie poznać.

– Dlaczego, dziadku, zwyczajnie jej o wszystkim nie powiedziałeś?

– Jakżebym nie chciał rozwiać wątpliwości i nie przyspieszyć szczęścia? Naturalnie, że chciałem. Ale, co mi się przydarzyło pierwszy i ostatni raz w życiu, nie miałem odwagi. Niektórym miłość dodaje śmiałości. Z innymi postępuje dokładnie na odwrót, dopóki ukochana osoba sama nie weźmie inicjatywy w swoje ręce... Przy Maryni przeżywałem istne męki nieśmiałości. Ilekroć trafiała się okazja do zwierzeń, gardło mi jakoś puchło, a buzia się rumieniła aż po końce wystających uszu. Ta okropna wstydlivość oraz niezaspokojone pragnienie poznania jej uczuć doprowadzały mnie niemal do szaleństwa. Wreszcie postanowiłem się za wszelką cenę przełamać, zdobyć na odwagę i wyznać swojej królowi to wymarzone: „Maryniu, kocham cię, a ty?” Miało się to wydarzyć podczas wieczornego spaceru, kiedy będziemy sami. Stosowna chwila szybko nadeszła. Już, już otwierałem zmrożone nieśmiałością usta, żeby wypowiedzieć upragnione słowa, kiedy nagle dopędziła nas Zuzanna. Wsunęła się między mnie a Marynię i poczęła o czymś wesoło rozprawać. Swaim bezceremonialnym zjawieniem podsunęła mi pomysł innego rozwiązania problemu. Przecież jednym z głównych dowodów miłości jest zazdrość. Odtąd niecierpliwie czekałem odpowiedniego momentu.

Kiedy któregoś dnia poszedłem do domu oplecionego dzikim winem, zastałem jedynie Zuzannę. Ciocia z wujkiem gdzieś pojechali, a Marynia wybrała się do przyjaciółki. Sytuacja doskonała. Zasiadłem z Zuzanną do beztroskiej pogawędki przy mocnej herbacie i anyżowych ciasteczkach, wspaniale wypiekanych przez ciocię. Siedzieliśmy blisko siebie na starej pulchnej sofie. Z tyłu było okno wychodzące na plac przed gankiem. Raz po raz rzucałem na nie ukradkowe spojrzenia, wyczekując powrotu Maryni.

I stało się...

Mimo że upłynęło już siedemdziesiąt lat, pamiętam tamte chwile tak wyraźnie, jak gdybym przeżywał je wczoraj. Marynia wróciła kwadrans po czwartej. Lekkim krokiem, w lśniących, bielutkich bucikach, w nowej, niebieskiej sukience, przeszła przez furtkę w żywopłocie i wstąpiła na ganek. Potem usłyszałem, jak wchodzi po schodach na piętro, gdzie był nasz pokój. I wtedy to urzeczywistniłem swój nieszczęsny plan... Zuzanna była komplet-

nie zaskoczona, ba! dobrze wystraszona, kiedy nasza rozmowa z nagłą się urwała i kiedy ni stąd, ni zowąd złapałem ją w ramiona, obdarzając namiętym pocałunkiem. Tak! Przy Zuzannie nie czułem nieśmiałości. W pierwszym momencie prawie omdlała, ale już w następnym jej przestkach zmienił się w coś przeciwnego i to ona zaczęła mnie namiętnie całować... Tymczasem we drzwiach stanęła Marynia. Chcąc nie chcąc, czerwoni i zdyszani, spojrzeliśmy na nią. Wciąż trzymając dłoń na klamce, zamarła w bezruchu i tylko z lekka rozchyliła wargi. Z tą pobladłą, znieruchomiałą twarzą, otoczoną złocistymi loczkami, z tymi otwartymi szeroko oczami, w których zdawały się połyskiwać drobinki potłuczonego szafiru, wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Nie rzekła ani słowa. Wycofała się i cichutko zamknęła drzwi. Dopiero wówczas zrozumiałem, jakie zrobiłem głupstwo. W gnieniu oka odepchnąłem Zuzannę i wybiegłem na korytarz. Nie zdążyłem. Marynia z szybkością wiatru zbiegła ze schodów i zniknęła w swoim pokoju, zamykając się na klucz. Całe moje dotychczasowe onieśmienie rozpadło się jak gliniany dzban. Stojąc przed jej drzwiami, zacząłem ją przepraszać i żarliwie przekonywać, że to, co widziała, o niczym nie świadczy, że kocham wyłącznie ją, Marynię, i że postaram się wszystko jej wytłumaczyć, niech tylko pozwoli się zobaczyć. Przekonywałem i błagałem na próżno. Drzwi pozostawały zamknięte i nie dobiegało zza nich nic oprócz przytłumionego płaczu. Odszedłem zrezygnowany i przygnieciony swoim głupim postępkami. Kiedy byłem już przy żywopłocie, Zuzanna wychyliła się z okna i oznajmiła, że się nie spodziewała odkryć we mnie aż tak podłego łotra.

I w ten oto sposób się przekonałem, czym się kończy lekkomyślna gra na strunach miłości i zazdrości, kiedy kobiece serce jest po prostu niezgłębione. Okazało się w ciągu następnych dni, że Marynia absolutnie nie chce mnie widzieć i że na samą wiadomość o moim przyjeździe ulatnia się z domu.

– A Zuzanna, dziadku?

– Zuzanna? Było jej wprawdzie obojętne, czy mnie widzi, czy nie, ale przestałem dla niej istnieć jako ktoś, do kogo można się odezwać. Z każdym dniem czułem coraz większą bezradność i w końcu odważyłem się prosić o pomoc ciocię i wujka. Ciocia Marta powiedziała wprost, że za to, co uczyniłem jej córkom, może mnie tylko położyć na kolanie i sprać na kwaśne jabłko. Inaczej zareagował wujek Jakub, który, zdaje się, był wszystkim szczerze ubawiony. Obiecał wpłynąć na młodszą córkę, żeby, chociaż na chwilę, uchyliła zatrzaśnięte serce i ze mną porozmawiała. Dzięki umiejętnym ojcowskim tłumaczeniom Marynia zgodziła się na jedno jedyne spotkanie, które, jak zdecydowała, miało się odbyć na kamiennym mostku za miastem.

Przeczuwając, że na tym mostku rozstrzygnie się dramat mojej pierwszej miłości, chciałem się do tego jak najstaranniej przygotować. Zaszedłem do Pliszki, żydowskiego jubilera i antykwariusza. Wziąłem go na stronę i, delikatnie się powołując na przyjaźń łączącą go z moim ojcem, poprosiłem, żeby wybrał dla pewnej młodej panny coś z drobnej biżuterii, coś szczególnego, a jednocześnie coś, co zbytnio nie nadwyreży moich skromnych oszczędności. Wyczuwałem, że Pliszko, człowiek podejrzewany o umiętność czytania w ludzkich sercach, odgadł mój miłosny problem. Przybrawszy dziwnie uroczysty wyraz twarzy, trzymając jakąś przesadnie zdobioną lampę naftową, zaprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia bez okien. Wysunął jedną z mnóstwa szufladek i wydobyl z niej srebrny pierścionek z prawdziwym koralem wielkości sporego ziarenka grochu. Dość gruba obrączka, stanowiąc przykład niezwykłego jubilerskiego kunsztu, była sama w sobie ozdobą. Miała kształt dwóch splecionych ze sobą gałązek mirtu, wykonanych z taką starannością i wiernością naturze, jakby dopiero co zostały zerwane i zaplecione. Pierścionek ten, według Pliszki, był wielce wartościowy nie tylko z powodu pięknego wykonania. Kryła się w nim moc niezawodnego talizmanu. Przed wielu laty należał do magnackiego rodu i każdej właścicielce pomagał znaleźć szczęśliwą miłość. Nie bardzo wierzyłem zapewnieniom o tajemniczej mocy czy arystokratycznym rodowodzie, ale sam klejnocik spodobał mi się niezmiernie, więc bez wahania go kupiłem.

Zjawiwszy się w umówiony dzień na mostku, poczułem ze strachem, że moja solidnie umocniona, jak sądziłem, pewność siebie zaczyna się rozsypywać, a gardło niepokojąco mi się ścisza. W dodatku Marynia długo zwlekała z przyjściem. Ale kiedy tylko ją ujrzałem, mimo że przyniosła na buzi dumny chłód, natychmiast odzyskałem duchową równowagę.

„Przyszłam na prośbę taty. Czego chcesz?” – spytała oschle.

Już bez najmniejszego ucisku w gardle, łagodnie odparłem:

„Chcę ci, Maryniu, powiedzieć, że cię kocham i wyjaśnić tamto głupie zdarzenie z Zuzanną. Widzisz, chciałem wtedy...”

„Nie musisz się tłumaczyć. Przecież wszystko widziałam” – przerwała mi spokojnie.

„Widziałaś, bo chciałem, byś zobaczyła. W ten, przynajmniej, niemądry sposób chciałem się przekonać o twoich uczuciach do mnie” – powiedziałem.

„Chciałeś się przekonać, a oboje byliście po prostu uszczęśliwieni. Po co te kpiny?” – upierała się.

„To nie tak, Maryniu, naprawdę nie tak jak myślisz – przekonywałem łagodnym głosem. – Spróbuj, proszę, spróbuj uwierzyć, że nie kłamię. Zresz-

ta, czy tu koniecznie trzeba wierzyć? Czy zwyczajnie nie widzisz, że cię kocham?”

Wysłuchiwała z zimną obojętnością i tak samo chłodno odparła:

„Posłuchaj. Nie wiem, czemu dalej ze mnie kpisz. Zuza już mi mówiła, że i przedtem nieraz się ściskaliście. Była zdziwiona, że niczego się nie domyślałam, ale przeprosiła za nieprzyjemne zaskoczenie”.

Dowiedziawszy się o zgotowanej mi zemście, zawrzałem taką złością na Zuzannę, że najchętniej bym ją wtedy udusił.

„Nie! nie! nie! Nie wierz tym podłym kłamstwom! – mówiłem bliski płaczu. – Naprawdę kocham tylko ciebie! Jak mam cię przekonać? Mam z ręką na sercu ukłęknąć w tym potoku?”

Ona była niewzruszona.

„Wybacz, ale bardziej wierzę rodzonej siostrze” – odpowiedziała i zabrała się do odejścia.

Delikatnie złapałem ją za ramię.

„Zaczekaj jeszcze... – poprosiłem i z kieszeni koszuli wyjąłem drewniane pudełeczko. – Chociaż przyjmij to ode mnie, pomimo wszystko”.

Oczy aż jej pojaśniały na widok srebrnego klejnociku. Obracając go w palcach, oszołomiona, nie wiedząc, co powiedzieć, patrzyła na korалowe oczko. Wnet jednak jakby się ocknęła, przypominając sobie, że serce wciąż ma dumnie zatrzęsnięte, i zwróciła mi pierścionek, oświadczając:

„Nie mogę. Wezmę taką rzecz tylko od kogoś szczerego. Nigdy nie uwierzę, że nic nie czujesz do Zuzy”.

„No nie! – jęknąłem. – Jeszcze trochę, a pójde i w twojej obecności powiem Zuzannie coś przykrego! Jesteś ślepa? Kocham się w tobie jak szalencie! O czym tu więcej gadać?!”

Zastanowiła się jako dziwnie, z powrotem wzięła mój podarunek i rzekła:

„Przypuśćmy, że mnie kochasz. Ale czy wtedy ściskałeś Zużę całkiem obojętnie?... no... czy nie czuleś żadnej przyjemności?”

„Co ty, Maryniu? – spytałem z żalem. – Jak mogłem z nią czuć jakąś przyjemność? Powtarzam, to był głupi, nieprzemyślany postępek. Ale zrobiłem go wyłącznie z myślą o tobie. Nie chodziło mi o żadną przyjemność”.

„Więc naprawdę kochasz tylko mnie?” – zapytała.

„Nie mógłbym inaczej” – odpowiedziałem, już prawie czując satysfakcję ze zwycięstwa.

Kto jednak przeniknie głębinę kobiecej duszy? Zbliżyła się do kamiennej balustradki mostku i powiedziała smutnie:

„Wiesz, dalej ci nie wierzę... A raczej nie umiem do końca uwierzyć... Niech lepiej przekona mnie sam Pan Bóg. Jeżeli pomoże ci odnaleźć pierścionek, będę pewna, że mówiłeś prawdę”.

Zanim zdążyłem w czymkolwiek przeszkodzić, srebrna obrączka z korалowym oczkiem błysnęła w powietrzu i wpadła do potoku. Kiedy ochłonąłem, Maryni już nie było w pobliżu.

– I szukałeś, dziadku?

– A jakże! Wprawdzie nie zauważyłem, w którym dokładnie miejscu klejnocik się zanurzył, ale pocieszałem się tym, że po ostatniej suszy potok jest płytki. Nie doceniałem chytryści natury. Czyściutka woda nie przeszkadzała w szukaniu. Prawdziwym kłopotem było dno usiane niezliczonymi kamieniami, kamykami i porośnięte glonami. Pierścionek musiał się wśród tego wszystkiego wyjątkowo złośliwie zawieruszyć. Ile się wtedy naszukałem, nadwalałem kamieni, ile nawyteżałem wzroku! „Panie Boże! – mówiłem, prostując się dla wytchnienia. – Przecież wiesz wszystko o mojej szczerzej miłości do Maryni. Dlaczego mi nie pomagasz?” Na próżno. Najwyższy nic nie zrobił, żeby mi pomóc. Nie zamierzałem się łatwo poddawać. Przez kilka dni przychodziłem i walczyłem z potokiem. Uznałem się za pokonanego dopiero wówczas, kiedy się porządnie zaziębiłem, do krwi poobcierałem palce i dostałem okropnego bólu w krzyżu. Żeby się usprawiedliwić i uspokoić, wybrałem dwie przyczyny klęski – albo wchodził tu w grę przypadkowy znalazca, albo zawiniła ryba łakoma na błyskotki, co było jeszcze mniej prawdopodobne.

I takim oto całkowitym niepowodzeniem zakończyła się moja pierwsza miłość. Wspaniała grań serca mojej królowny pozostała dla mnie niedostępna. Nie wiem, jak bym to przeżył, gdyby nie wojna, która wybuchła w następnym roku i której płomienie prędko oczyściły mi wnętrze z miłosnych cierpień.

Staruszek poprawił sobie poduszkę i westchnął.

– I jak się dalej potoczyły losy Zuzanny i Maryni? – zapytał Kamil.

– Podczas wojny Zuzanna była siostrą Czerwonego Krzyża, ofiarnie pomagając rannym żołnierzom. Gdzieś na Ukrainie zaraziła się tyfusem i umarła. Wojna zabrała też wujka Jakuba. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, gdzie został pochowany. W latach dwudziestych ciocia Marta sprzedała dom i razem z córką zamieszkała u krewnych w Lublinie. Tam Marynia szczęśliwie wyszła za mąż. Pisaliśmy do siebie serdeczne listy.

– Spotkaliście się jeszcze kiedyś?

– Nie, chociaż bardzo tego chcieliśmy. Zawsze coś wypadło, coś uparcie stawało na przeszkodzie. Kiedy przed dwunastu laty twardo postanowiłem

się do niej wybrać, przyszła wiadomość o jej śmierci – dziadek Jacek szorstką dłonią wygładził brzeg kołdry na piersi.

Na zewnętrznym parapecie okna zjawiała się popielata synogarlica, chybotliwie podreptała, zerknęła to jednym, to drugim zaciekawionym koralikiem oczka i odfrunęła. Kamil spojrział na swój zegarek i wstał.

– Wygląda na to, dziadku, że będę już szedł – powiedział i ręką przykrył pomarszczoną dłoń leżącą na kołdrze. – Trzymaj się. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za te wszystkie opowieści.

– Już mi się odwdzięczasz, bo umiesz słuchać – odpowiedział dziadek.

Następnego dnia Kamil nie mógł nie pójść na kamienny mostek za miastem. Oparty łokciami na omszonej balustradce, zamyślił się nad historią, którą wczoraj usłyszał. W dole szeleściła woda. Szemrała z tą niestrudzoną jednostajnością, która nic sobie nie robi z potęgi czasu, z umykających korowodów wiosen i jesieni, z przemijających ludzkich radości i smutków, namiętności i nieporozumień. Słońce niemilosiernie parzyło w plecy. „Czy nie ma chociażby maleńkiej szansy? Warto przynajmniej się trochę ochłodzić, zamoczyć nogi” – pomyślał. Zeszedł nad brzeg potoku, zdjął buty, skarpetki, podwinął nogawki i wszedł do zimnej, wartkiej wody. Przez blisko godzinę wpatrywał się w kamieniste dno, przestawiał większe kamienie i rozgarniał długie pasma glonów. „Jeśli dziadek nieco ubarwił swoje wspomnienia, to jestem podobny do kogoś, kto przeczytał nowelę i zabiera się do szukania domu jej bohaterki” – rzekł w myśli.

Zrezygnowany, rozprostował obolały kręgosłup i ruszył już ku brzegowi, gdy stopa boleśnie mu wlaźła między dwie płaskie bryły granitu. Ostrożnie odwalił jedną z nich i z wrażenia niemal zeszywniał. W odsłoniętym miejscu załśnił czerwienią koral. Lękając się złudzenia, niepewnie wyciągnął rękę. Czy to możliwe? Czy rzeczywiście spoglądał na materialny okrucuch wspomnień sprzed siedemdziesięciu lat? Ależ tak! To, co w radosnym podnieceniu trzymał przed oczyma, było niewątpliwie pierścionkiem z opowieści. Dziadek najwidoczniej sam go niepostrzeżenie przywalił kamieniem w trakcie poszukiwań. Obrączka już co prawda utraciła srebrny połysk, lecz zachowała ów misterny kształt splecionych ze sobą gałązek mirtu. Szybko włożył buty i poszedł do miasta.

Zaszedłszy do szpitala poprosił o krótkie spotkanie z dziadkiem. Kazano mu czekać na korytarzu. Po dziesięciu minutach podeszła do niego drobniutka siostra Krysia, trzymając w kieszeniach fartuszek i szczupłe ręce, pokryte miękkimi, rudawymi włoskami.

– Chciałbym się zobaczyć z dziadkiem. Tak przez chwilę. To taka nasza

ważna sprawa – tłumaczył.

– Widzisz... Twój dziadek... już nie może się z tobą zobaczyć – powiedziała łagodnie i z jakąś dziwną powagą.

Przyjrzał się jej ładnej piegowanej twarzy i poczuł jak wilgotnieją mu oczy, a w gardle wzbiera słodkawe ciepło. Usiadł na twardym krześle przy ścianie, potarł palcami czoło i chwilę pomilczał.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– Jakąś godzinę temu.

– Był ktoś przy nim?

– Tak się złożyło, że właśnie ja...

– Cierpiał?

– Sama bym sobie życzyła tak odchodzić. Po prostu jakby nagle głęboko i spokojnie usnął.

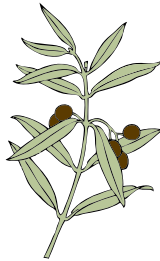
– Może siostra powiedzieć jego ostatnie słowa?

– Ostatnie słowa?.. No, nie wiem...

– Proszę...

– Powiedział, że mu się podoba moja słoneczna buzia – odparła z ciepłym uśmiechem.

W domu Kamil starannie oczyścił znaleziony pierścionek. Może kiedyś ofiaruje go swojej dziewczynie, tej, która na pewno nie wrzuca miłosnych darów do potoku.



Miłość Kingi

Kinga miała dziesięć lat, gdy po raz pierwszy przyjechała na wieś. Lato było w tym roku bardzo słoneczne, więc całymi dniami bawiła się wśród gospodarskich zabudowań albo chodziła po okolicy i zachłannie obserwowała przyrodę. Prawie zawsze towarzyszył jej kuzyn, mieszkający we wsi, jasnowłose Piotrek w śmiesznych drucianych okularach. Był tylko o rok od niej starszy, lecz uważał się za jej niemal dorosłego opiekuna. Dotąd nie spotkała podobnie zarozumiałego chłopca, ale zazdrościła mu sporego odczytania i niezwykłej pamięci. Mawiał, że ma już dość tej wiochy i że w przyszłości na pewno stąd czmychnie, aby zostać adwokatem w jakimś dużym mieście. Mimo to z nieukrywaną satysfakcją pokazywał Kindze rozmaite, według niego godne obejrzenia, polne i leśne zakątki.

Któregoś dnia zaprowadził ją na cmentarz, żeby zobaczyła najstarszą jego część, gdzie od przeszło półwiecza nie pochowano już nikogo. Wysoki kamienny mur oraz gęste korony drzew napępniały to miejsce głębokim cieniem wymieszanim z ciszą i chłodem. Pośród bujnego zielska czerniały kamienne krzyże i płyty, pod którymi znalazły wieczny odpoczynek całe pokolenia rodzimych dziedziców. Jakby nie chcąc tego spoczynku zakłócić, dzieci powoli i cichutko, w jakimś prawie podniosłym skupieniu szły przez wilgotną gęstwinę bluszczu, niecierpków i paproci. Piotrek co chwilę przystawał, schylał się, rozgarniał liście, odczytywał napis wyryty na omszonym grobowcu i opowiadał o zmarłym, którego ów napis dotyczył. Ile w tych opowieściach było prawdy, a ile fantazji, Kinga nie wiedziała, lecz słuchała wszystkiego ze szczerym zaciekawieniem. Właśnie przedostawali się przez wyjątkowo gęste i splątane pędy dzikiego wina, gdy dziewczynka nagle znieruchomiała z pobladłą buzią i z szeroko otwartymi oczami.

- Piotrek, daj no mi rękę... Kto tam stoi?.. – zapytała z przejęciem.
- Gdzie?
- Tam na prawo...
- Tam? Zwyczajny posąg. Tyś może myślała, że duch? Ja chciałbym spotkać ducha i z nim pogadać.
- Podejźmy do niego – niemal szepnęła.

Kiedy stanęła przed posągiem, z wrażenia rozchyliła wargi, a nawet w pierwszej chwili – co było u niej przejawem szczególnego zakłopotania – złapała się za koniec jednego ze zwisających jej u piersi warkoczyków. Oto na granitowym, mającym kształt wzburzonej fali, postumencie stał dwumetrowy anioł wyrzeźbiony w jasnożółtym piaskowcu. Ubrany w habit sięgający stóp, czoło miał wzniesione, a długie włosy z lekka rozwiane. Obiema rękami przyciskał do serca naczynie przypominające grecką amforę. Najmocniej przyciągał spojrzenie swoją młodzieńczą twarzą o harmonijnych rysach. Kinga nie mogła wzroku oderwać od jego dużych, łagodnych, głęboko zamysłonych czy jedynie na coś zapatrzonych oczu i od zastygłych w powadze warg, które jednak, gdy się na nie długo patrzyło, zdawały się jaśnieć tajemniczym, delikatnym, uśmiechem. Cała postać anioła miała w sobie tyle zakłętego życia, iż dziewczynce się wydawało, że za moment ocknie się on z zadumy, jak łabędź rozłoży skrzydła i odleci w przestworza.

– Czego się tak zagapiłaś? To najzwyczajniejszy cmentarny posąg – rzekł Piotrek.

– Wcale nie najzwyczajniejszy – odparła Kinga. – Spójrz tylko, jaki piękny! Prawdziwie jak żywy! To dzieło sztuki.

– Gdzie tu widzisz jakieś piękno, a co dopiero sztukę? Pospolity kicz i tyle.

– Co to jest kicz?

– Nie wiesz? To jest coś, co udaje sztukę, a w rzeczywistości jest bezwartościową tandetą.

– Sam jesteś tandetą. Nikt mi nie wmówi, że nie ma w nim piękna.

– Nie chcę ci niczego wmawiać.

– Naprawdę nie widzisz w nim nic pięknego?

– Trudno ze ślepym mówić o kolorach – oświadczył. – Chodźmy już, bo w brzuchu mi burczy.

– Zaczekaj. Chcę wiedzieć, kto tu jest pochowany.

– Dowiedz się sama. Jeśli oczywiście nie boisz się duchów. Ja idę – wepchnął rękę w kieszenie spodenek i odszedł.

„Niech sobie idzie. Mały przemądrzały – powiedziała, kiedy zniknął za

krzakami i krzyżami. – Widzisz – spojrzęła z uśmiechem na anioła – chyba poczuł się o ciebie zazdrosny”.

Kucnęła przy pomniku i, rozchyliwszy gałązki bluszczu, odnalazła płytę z ciemnego granitu. Zdjęła z niej płaty mchu i wolno przeczytała wyryte słowa:

*Tu spoczywa
ukochany nasz syn
Adam Murawiecki
1901 – 1913*

*Przeżyłeś tylko dwanaście lat,
Bo zimne fale nieczulej rzeki
Twojego życia porwały kwiat
I nam, zbolalym, skradły na wieki.*

*Przechodniu,
pamiętaj o modlitwie.*

„Czy ten chłopiec musiał umrzeć tak wcześnie? – smutnie zapytała samą siebie, uklękła i zmówiła *Wieczny odpoczynek*. – Ale ty wcale nie jesteś smutny – zwróciła się do anioła. – Wyglądasz raczej na bardzo zamyślonego. Wiele bym dała, żeby się dowiedzieć, o czym myślisz”.

Wstała i strzepała z sukienki drobinki mchu.

„Mama mi da... – westchnęła. – To miała być jak najdłużej czysta sukienka. Muszę już iść. Ciocia już pewnie zrobiła pyszny obiad, a w brzuchu mi się odzywa nie ciszej niż u Piotrka. Postaram się jutro tu przyjść. Na pewno nieraz ci się przykrzy stać tak samotnie. Też by mi się przykrzyło, gdybym była aniołem, a jakiś rzeźbiarz skazałby mnie na takie sterczenie dniami i nocami przy ziemi. No to do jutra! Chyba mogę zostać twoją przyjaciółką? Ach!.. Przecież się nie przedstawiłam! Jestem Kinga, Kinga Bączek. Mam dziesięć lat i mieszkam w Warszawie”.

Lecz następnego dnia lało jak z cebra. Kinga niecierpliwie czekała końca ulewy. Gdy się trochę wypogodziło, zostawiła Piotrka, zajętego składaniem modelu myśliwca, ubrała się w nieprzemakalny płaszczyk, włożyła gumowe buty i poszła na cmentarz. Wszystko tam było przesiąknięte deszczem, emanowało smutkiem przemijania i śmierci. Jednak postać anioła niezmiennie promieniowała żywą, ciepłą harmonią. Zbliżywszy się do posągu, dziewczynka stanęła na palcach i dotknęła jego chłodnej dłoni, jakby chciała go łagodnie obudzić.

„Cześć! Przysłałam jak obiecałam – rzekła z uśmiechem. – Wiesz, zawsze myślałam, że anioły są piękne. Ale ty jesteś naprawdę piękny. Ten kto cię wyrzeźbił, musiał znać jakiś tajemny sposób, żeby zobaczyć, jak naprawdę wyglądasz w niebie. A kiedy wyrzeźbił, to i uwięził, cię, biedaku, w tym kamieniu. Tak? Nic nie odpowiadasz, ale ja czuję, że tak jest. Gdybym tylko mogła wiedzieć, jak cię odczarować i uwolnić! Byłoby tak wspaniale! Mógłbyś wtedy przychodzić do mnie tyle razy, ile razy usłyszałbyś moje wołanie. Nie wierzę w żadnego anioła stróża, bo nigdy go przy sobie nie poczułam. Ciebie mogłabym widzieć i brać za rękę. A rozmawialibyśmy o wszystkim. Ale sam wiesz... – westchnęła smutnie. – Czy to coś więcej niż tylko marzenia? Nic więcej. Jedyne mogę cię tu odwiedzać. I to przez dwa tygodnie. Potem muszę jechać do domu”.

Bardziej posmutniała. W pobliżu znalazła jakąś dużą nagrobną płytę i zamyślona usiadła na jej skraju.

„Widzisz... – cichutko odezwała się po chwili. – Oprócz wielkich różnic między nami, no bo wiadomo – ty jesteś pięknym aniołem, ja jestem dziewczynką, mamy jeden wspólny smutek. Ty jesteś samotny i ja jestem samotna. Ty po swojemu, ja po swojemu. Tak. Ja też. Mam co prawda mamę i tatę, babcię i dziadków, ciotkę i wujków, przyjaciółki i kolegów, ale tak szczerze mówiąc, to czuję się samotna. No, nie zawsze jednakowo, bo mama czasem umie tą moją samotność zmniejszyć. Ale często boli ją okropnie głowa, a jeszcze częściej jest taka niespokojna i zabiegana. Mówi wtedy, żebym przestała pleść głupstwa i wzięła się do czegoś rozsądnego, najlepiej do matematyki, z którą mam kłopoty i której nie znoszę. A znowu tato jest stale bardzo zapracowany albo czymś zmęczony i wcale nie ma czasu, żeby ze mną rozmawiać. Z innymi też nie mogę sobie dobrze pogadać, bo oni wszyscy jakoś nie chcą czy nie umieją słuchać, a tylko chcą, żeby ich słuchano. A wiesz, miałam takiego pieska, Puszka z rudą mordką. Przed nim to mogłam się całkiem wygadać, a on wysłuchiwał wszystkiego spokojnie i zawsze mądrze patrzył tymi swoimi brązowymi ślepkami. Niedługo był ze mną. Kiedy raz poszłam do szkoły, wybiegł na ulicę i przejechało go auto. Nie chcę już mieć drugiego pieska. I wiesz, kiedy się ostatnio zastanawiam nad swoją samotnością, to myślę, że i ja po części jestem jej winna. A to dlatego, że jestem jakimś takim odmieńcem. Bo która dziewczynka, tak jak ja, wpadałaby na lekcji w rozmarzenie, a obudzona szturchańcem, wyglądałaby jak strącona z księżycy? Albo która miałaby tak samo wyraźne, piękne, a czasem straszne sny? Powiem ci w tajemnicy, że mam taki sekretny pamiętnik. Zapisuję w nim wszystkie swoje marzenia i każdy najpiękniejszy sen. Został w Warszawie. Ale za rok

go przywiozę, przyłożę ci do serca, a ty, jako anioł, wszystko przeczytasz bez obracania kartek. Co? Czyżbyś płakał? – spytała zdumiona i podniosła się z grobowca. – Wprawdzie mama powiedziała, że z gałęzi spadły ci na twarz zwykle krople, ale ja wiem, że tak naprawdę to ty płaczesz. Dlaczego?”

Wyjęła spod płaszczyka bielutką chusteczkę i ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, wspięła się na kamienną falę. „Nikommu jeszcze nie dawałam swojej chustki. Co jednak zrobić z aniołem, który nie potrafi obetrzeć sobie łez?” – mówiła sięgając z trudem do policzków rzeźby.

– Wiedziałem, że będziesz właśnie tu – zaskoczył ją znajomy głos – ale się nie spodziewałem zobaczyć, jak się do niego przytulasz.

Spuściła wzrok i ujrzała Piotrka stojącego z zadartą buzią. Szybko schowała chusteczkę i zeskoczyła z postumentu.

– Wcale się nie przytulam – odparła zarumieniona. – Zresztą to moja sprawa, co tu robię. Więcej mnie nie szpieguj, bo się na ciebie pogniewam.

– Nie miałem zamiaru cię szpiegować. Ciocia zaczęła się niepokoić twoim przedłużającym się spacerem w taką pogodę i kazała mi cię przyprowadzić.

– Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz, gdzie byłam. Jeśli dotrzymasz słowa, to z Warszawy przyślę taki model samolotu, jaki zechcesz.

– Nie musisz niczego przysyłać. Zawsze dotrzymuję słowa – odpowiedział i dwoma palcami poprawił druciane okulary na swoim piegowatym nosku.

Kinga chodziła odtąd codziennie na cmentarz. Siadała na granitowej płycie naprzeciw anioła, opowiadała mu swoje ostatnie przeżycia, zwierzała się z pragnień, smutków i radości. Zmęczony się mówieniem, przypatrywała się jego postaci, a zwłaszcza rysom twarzy, próbując przeniknąć tajemniczą, anielską duszę, albo się po prostu cieszyła, że jest przy nim. Często przynosiła mu kwiaty zerwane na łąkach, a raz uwiła wianek z cykorii, błękitny jak samo niebo.

W przeddzień wyjazdu ubrała się w najładniejszą sukienkę i wyjątkowo starannie zaplotła warkocze, do których przywiązała nowiutkie jedwabne wstążki. Już mniej więcej ułożyła słowa na pożegnanie z aniołem, a przede wszystkim postanowiła nie płakać. Przecież nie przestanie go odwiedzać duchowo. Wierzyła, że myśl może się przemieniać w cząstkę duszy i, niby czarowany rumak, docierać w oka mgnieniu tam, gdzie tylko zapragnie. Co wieczór, wygodnie leżąc w łóżku, wyruszy w ten sposób do przyjaciela zakłętego w kamień. Aby sobie te podróże ułatwić, pożyczyła od Piotrka aparat fotograficzny. Zrobi aniołowi zdjęcie, które postawi u siebie na szafce nocnej.

Tym razem szła przez cmentarz trochę dłuższą ścieżką, by ominąć większe kępy zielska i nie pobrudzić sukienki. Kiedy doszła do starego jesionu, za

którym były widoczne najstarsze nagrobki, pociemniało jej w oczach. Anioła nie było. Przerażona, powiodła wokół wzrokiem. Nic. Przestał istnieć jak śnieg po ciepłej nocy. A może?.. A może stało się to, co się zdawało niemożliwe? Może uwolnił się od złego czaru, otrząsał z kamiennego odretwienia, rozłożył skrzydła i wleciał w niebiosa? A jeżeli tak, to mógł jej zostawić jakiś list czy choćby króciutkie, uspokajające wytłumaczenie. Ze ściśniętym sercem podbiegła do granitowej fali, wyglądającej teraz tak żałośnie jak donica, z której dopiero co wyrwano kwiat. Nachyliła się, tu i ówdzie dotknęła palcami i wszystko zrozumiała. Piękne złudzenia boleśnie się rozsypały. Wokoło postumentu liście winobluszczu były pogniecione i porozrywane, a na odsłoniętej ziemi widniały ślady dużych butów. Już o czymś podobnym słyszała. Pozbawieni szacunku dla umarłych, wstrętnei ludzie przyjeżdżają w głąbłą noc na stare cmentarze i kradną co cenniejsze nagrobne płyty, rzeźby, kamienne krzyże, żeby je sprzedać, przyozdobić nimi groby swoich bliskich czy nawet postawić w ogrodzie. Drżąc z płaczu, usiadła bezradnie na postumencie. Gdyby ktoś wtedy przechodził w pobliżu, mógłby w pierwszej chwili wziąć ją za jakiegoś dziwnego, bo mającego aparat fotograficzny zawieszony na szyi, anioła, który, fruując w zamyśleniu, zawadził o gwiazdę, przetrącił sobie skrzydło, spadł między groby i, calutki potłuczony, oczekuje pomocy współbraci. Miała już wstać i odejść zapłakana, gdy spostrzegła, że coś jasnego leży przy jej sandałach. Serce zabiło w niej z takim ożywieniem, że mimowolnie otworzyła buzię. Czyżby zostawił po sobie jakąś pamiątkę? Niepewnie sięgnęła po kawałek piaskowca. Miał kształt pęczka łabędzich piór. Obracając go przed oczami i polykając łzy, mówiła:

„No tak... Zdejmowali cię, wysunąłeś im się z rąk i uderzyłeś o płytę. Ten obtłuczony kawałek twojego skrzydła będę przechowywała jak największy swój skarb. Przrzekam, że kiedy tu za rok przyjadę, odnajdę cię na pewno, chociażbym obeszała okoliczne wioski. Odnajdę i znowu się zobaczymy”.

Następnego dnia wieczorem była już w Warszawie, w swoim pokoju na siódmym piętrze. Z samego dna walizki, spod wakacyjnych ubrań, wydobyla drogocenny odłamek, pogładziła go opuszkami palców, pocałowała i zamknęła w szkatułce razem ze skarbami dzieciństwa – niklowym łańcuszkiem, noszonym kiedyś przez jej pieska, oraz notatnikiem pełnym marzeń. Ilekroć była smutna i czuła się bardziej niż zwykle osamotniona, ze szkatułki wyjmowała fragment rzeźby, kładła na dłoni i myślami przywoływała niebiańskiego przyjaciela. Mocno wierzyła, że on wówczas – gdziekolwiek by był – w jakiś tajemniczy, anielski sposób jest przy niej, słyszy ją i rozumie. Sądziła, że nikt nie wie o tych duchowych spotkaniach. Mama jednak wiedziała i niepokoiła

się tym, jak uważała, dziwacznym zachowaniem córki.

Pewnej wrześnie nocy Kinga nie mogła usnąć. Głęboko wdychała chłodne powietrze, wlatujące przez uchylone okno i pachnące już jesienią. Marzyła, że wędruje po górach zatopionych w księżycowej poświacie, a gwiazdy ma w zasięgu ręki. Tymczasem zegar w przedpokoju jakoś głośniej niż zazwyczaj wybił którąś z nocnych godzin. Raptownie powróciła z marzeń na łóżko. Ktoś był w pobliżu... Lecz kto? Może mama? Nie, to nie mama... Ten ktoś promieniował delikatnym, różowym światłem. Trwożliwie zerknęła w lewo. Na środku pokoju stała jakaś wysoka osoba w białej, powłóczystej szacie. Dziewczynka natychmiast naciągnęła kołdrę na twarz, zapragnęła się zmienić w jakieś zwierzątko i zaszyć w kąciaku.

– Kingo! – usłyszała ciepły głos. – Kingo! To ja, twój anioł.

– Naprawdę ty? – wyjąkała spod kołdry.

– Naprawdę. Przypatrz mi się i przestań się bać. Nie można lękać się kogoś, kogo się kocha.

Odkryła się powoli, niepewnie spojrzała i promiennie się uśmiechnęła.

– To naprawdę ty! Odwiedziłeś mnie! – wykrzyknęła radośnie i wyciągnęła ku niemu rękę, żeby go uściskać.

– Anioły nie zapominają – powiedział, gdy pocałowała go w policzki. – Dzięki twojej miłości mogłem się uwolnić z więzów kamienia.

– Ale przecież tamci źli ludzie wykradli cię i dokądś zabrali...

– Jacy źli ludzie? O czym mówisz? Tamtej nocy, kiedy w posągu zapłonął mój duch, były ze mną tylko twoje myśli.

– A co z duszą tamtego chłopca? Czy nie jest jej smutno bez ciebie?

– Od dawna cieszy się ona niebem, więc zupełnie niepotrzebnie stałem na straży miejsca, gdzie jej nie było.

– Opowiedz mi o niebie – poprosiła.

– Oj, wiele by można opowiadać. Ale jeśli potrafisz sobie wyobrazić najpiękniejszy ogród na ziemi, to wiedz, że i tak nie dorównuje on pięknem alejom nieba. Każdy może się po tych alejach przechadzać. Wystarczy zachować dobre serce do końca ziemskiego życia.

– Nie chcę długo czekać. Zabierz mnie z sobą. Spraw, żeby urosły mi takie skrzydła jak twoje. Weźmiemy się za ręce i polecimy do Pana Boga. Ty znasz drogę.

– Kingo... Anioły nie potrafią przyprawiać ludziom skrzydeł. A zresztą, po co mieliby to robić? Dobremu człowiekowi bez niczyjej pomocy rosną anielskie skrzydła.

– Tak?.. – zdumiała się.

– Tak. A rosną przez całe życie. Są niewidzialne, bo wyrastają nie z pleców, ale wprost z duszy. Jesteś dobrą dziewczynką, dlatego już masz małe skrzydła. Jeśli dobrą pozostaniesz, staną się one coraz większe i większe, z czasem się pięknie opierzą, a kiedy twoje ciało się zużyje jak stare ubranie, będziesz mogła te skrzydła rozłożyć i spokojnie polecieć aż do najwyższych niebios. Wtedy już na zawsze będziemy razem.

– To wspaniale! Wspaniale! – z radości podskoczyła na łóżku. – Ale... – westchnęła jakoś poważnie. – Ale muszę się nauczyć czekać cierpliwie, chociażbym żyła i sto lat... Czemu posmutniałeś? Masz jakieś zmartwienie?

– O, spójrz – pokazał Kindze prawe skrzydło. – W tym miejscu brakuje kilku lotek. A w skrzydle wszystkie lotki są bardzo ważne. Boję się, że się nie wzbiję nawet ponad pierwsze gwiazdy.

– Chcesz, żebym ci oddała ten odłamek? Ale to przecież nie są prawdziwe pióra, tylko kamień.

– Nie szkodzi.

– Zaraz ci dam, zaraz... – szybko sięgnęła po szkatułkę.

– Wiem, że chciałabyś zatrzymać tę pamiątkę po mnie.

– Nie ma o czym mówić.

W świetlistej dłoni anioła żółtawa skała momentalnie przemieniła się w pęk prawdziwych śnieżnobiałych piór. Pióra te włożył sobie w skrzydło w taki sposób, że z pozostałymi lotkami tworzyły gładką całość.

– Już odlatujesz? – rzekła smutnie.

– Rano powinnaś być wyspana, a ja już zbyt długo jestem na ziemi. Nie przedłużaj mojej rozłąki z niebem.

– Ale powiedz jeszcze, kiedy się spotkamy? Chyba nie za sto lat? – zapytała.

Troskliwie przykrył ją kołdrą i powiedział:

Życie twe, Kingo, pamiętaj rym ten,

Krótkie czy długie – przeminie jak sen.

Po czym pocałował ją w czoło, stanął przy oknie, złożył ręce na piersiach i, niby świetlista mgła, rozplynął się w powietrzu.

Przez cały następny dzień mama Kingi niespokojnie oczekiwała chwili, gdy córka z zalem powie o zniknięciu skarbu ze szkatułki. Dziewczynka jednak, z tajemniczym blaskiem w oczach, ani razu o tym nie wspomniała.

Srebrna papierośnica

Miasteczko, w którym mieszkam i pracuję, należy do typowo prowincjonalnych, spokojnych i przytulnych. Od prawie dwudziestu lat uczę matematyki w tutejszym liceum. Łatwo nawiązuję dobry kontakt z młodzieżą i potrafię swoim niezbyt romantycznym przedmiotem zainteresować największych romantyków. Przed paru laty jedna z moich najlepszych klas maturalnych podarowała mi na pamiątkę papierośnicę – wspaniałą, srebrną, z wytłoczonym, fantastycznym wzorem. Byłem całkowicie zaskoczony, bo nigdy nikogo nie zachęcałem do palenia i zawsze starałem się nie ujawniać zbyt swą zależność od papierosów. Któż by przypuszczał, że ten upominek złączy mnie z pewnym osobliwym zdarzeniem...

Jak w każdym mieście i miasteczku, tak i w tym mieszkają ludzie odmieńcy, ludzie dziwacy, którzy z rozmaitych powodów nie godzą się ze zwyczajnym miejskim życiem, którzy, niczym ślimak w muszli, zasklepiają się we własnym, tajemniczym świecie i których często uważa się za psychicznie chorych.

Do ludzi takich zalicza się Leokadia.

Mieszka w obdrapanej kamienicy niedaleko kościółka świętego Józefa. W młodości była, jak słyszałem, całkiem normalną i ładną kobietą. Duchowa odmienność zaczęła się w niej rozwijać podobno od czasu, gdy jej męża znaleziono martwego pod kolejowymi mostami za miastem. Dla otoczenia nie jest bardzo uciążliwa, dlatego szpital bierze ją pod opiekę sporadycznie i to zwykle na krótko. Jej wątła postać o dużych, mocno połyskujących oczach i orlim nosie jest tak powszechnie znana, że zdaje się zlewać z szarością bloków i ulic. Niemal każdego dnia, nie przejmując się letnim skwarem, ulewą czy grudniową śnieżycą, powolnym, drobnym krokiem, pełna tajemniczego

zamyślenia, przemierza miasto wzdłuż i wszerz. Patrzy przeważnie na ziemię u swoich rozlatujących się kapci. Zazwyczaj trzyma kij i maca nim chodniki i uliczne żywopłoty. Od czasu do czasu pochyla się, podnosi jakiś papierek lub szkiełko, uważnie je ogląda i z namaszczeniem wkłada do ortalionowej torby. Czasem mruczy coś sennie albo śpiewa cicho na jednostajną, smętną nutę. Chyba raz tylko widziałem ją pogrążoną w dziwnym podnieceniu. Stała wtedy na rogu Targowej i groźnie przeklinała, wymachując kijem.

Kilka dni temu poszedłem do fryzjera. Od dawna korzystam z usług Walentego Budyniaka. To sympatycznie gadatliwy i nierzadko podpity człowieczek, zupełnie jakby jakimś cudem przeniesiony tu z dziewiętnastowiecznej Galicji, ale strzyże i goli znakomicie. Kiedy stanąłem pod staroświeckim szyldem, na zamkniętych drzwiach wisiała kartka z krzywym, zielonym napisem: *Z powodu załatwiania nagłych spraw rodzinnych jestem nieobecny. Wrócę o godzinie trzynastej. Przepraszam. Walenty Budyniak.* Uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie, że zapewne teraz Budyniak uspokaja swoją żonę, znaną hipochondryczkę, i postanowiłem zaczekać na pobliskim skwerze.

Usiadłem na ławce przy klombie obramowanym niskim murkiem i obsadzonym różami. Ostre czerwcowe słońce zapalało srebrne błyski w wysokich koronach wierzb i topoli. Pachniało jaśminem i nagrzanym żywotnikiem. Sąsiednią ławkę zajmowała młoda kobieta i delikatnie kołysała wózkim, w którym pulchne rączki niemowlęcia wydawały się chwytać coś niewidzialnego. Za nią rozsiadły się dwie otyłe panie, gawędząc ze sobą i robiąc na drutach. Na skraju dalszej ławki sztywno siedział chudy starszy pan z kozią bródką. Najdalej siedziała para zakochanych. Chłopak szeptał dziewczynie jakieś czułe słówka. Być może rozwijał przed nią plany ich wspólnej przyszłości, tak jak pająk rozwija lepką nić. A po drugiej stronie klombu troje dzieci bawiło się dużą kolorową piłką.

Otworzyłem gazetę i zagłębiłem się w lekturze. Przewracając stronę, mimowolnie podniosłem oczy i ujrzałem przygarbioną sylwetkę Leokadii. W szarym, przydługim, poprzecieranym płaszczu wolno przesuwiała się między drzewami i krzewami, co chwila odginając ich gałązki. Gdy już się zdało, że opuści skwer, jakoś mechanicznie zawracała, żeby ponownie, niby szukający czegoś żuraw, stąpać po zaniedbanym trawniku.

Wróciłem do czytania artykułu, który zaskakiwał oryginalnym podejściem do ogólnie znanego problemu. Nie odrywając wzroku od gazety, sięgnąłem po papierosnicę. Jedną ręką wyjąłem z niej papierosa, pstryknąłem zapalniczką i już wdychałem porcję gorącego dymu. Mimo że artykuł całkowicie zajął moją uwagę, wyczuwałem jakimś szóstym, natrętnym zmysłem,

iż odkąd w moim ręku znalazła się papierośnica, ktoś mi się przypatruje. Nie wytrzymałem i spojrzałem przed siebie. Parę kroków ode mnie stała Leokadia. W jej dużych, zalanych łzami, utkwionych we mnie oczach prawie dziecinne uszczęśliwienie mieszało się z wdzięcznością oraz z czymś głęboko bolesnym, a na chudej, wyciągniętej szyi drżały wszystkie zgrubiałe żyłki i ścięgna. W tym, że oto ni stąd, ni zowąd znalazła się przede mną i przyglądała mi się w ten przejmujący sposób było coś tak niezwykłego, wręcz niesamowitego, iż poczułem się nieswojo i omal nie upuściłem papierosa. Jakby odpowiadając na moje zdumienie, zbliżyła się, uklękła, ujęła mnie za rękę i czule ją pocałowała. Patrzyli na to wszyscy obecni na skwerze, nawet dzieci zapomniały o piłce. Tylko pan z kozią bródką spojrzał z chłodnym niesmakiem, wstał szybko i odszedł sztywnym krokiem. Co gorsza, byłem jak sparaliżowany, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Tymczasem Leokadia wsunęła drżącą dłoń pod moją marynarkę, wyjęła papierośnicę i zaczęła pomału wyciągać z niej papierosy, układając je z namaszczeniem w równym szeregu na ławce. Jednocześnie mówiła cichym, po części zatroskanym, po części śpiewnym głosem:

„Znaleźliście pod stadionem? Bogu dzięki. Dobrze, że chociaż znalazła się ta papierośnica... Tyle jej się naszukałam... A Piotruś zawsze taki biedny niezguła... Biedny niezguła... Wszystko gubi. Parasol już zgubił, czapkę zgubił, klucze zgubił, trzy zegarki pogubił, rękawiczki pogubił, a ostatnio zgubił tą papierośnicę, którą mu dałam raz na urodziny. A tak się nią cieszył. Biedny niezguła... Powtarzam mu i powtarzam: Piotruś, jak co małego masz, to zawieś sobie na szyi albo przyczep do paska od spodni. Śmieje się wtedy i mówi, że jestem głupia kokoszka i że więcej już niczego nie zgubi. Ale gdzie tam! Wciąż nie przestaje wszystkiego gubić! Muszę sama później szukać i znajdować. A jeśli nie znajdę, to dobrzy ludzie znajdują i przynoszą, bo wiedzą, które rzeczy są Piotrusia. Dobrze, że znaleźliście papierośnicę. Bóg wam zapłać. Ale niech nie myśli, że mu ją dam. Schowam. Gotów znowu zgubić”.

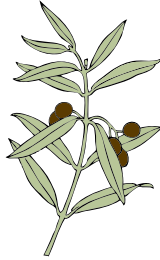
Wolno podniosła się z kolan i, gładząc suchą, drżącą dłonią moje czoło, powiedziała jeszcze:

„Jak znajdziecie znowu coś Piotrusia, to przynieście. Jesteście dobrym człowiekiem”.

Potem jej stare oczy napełniły się obojętnym blaskiem i przestałem dla niej istnieć. Papierośnicę starannie owinęła w jakąś szmatkę i włożyła do kieszeni przydługiego płaszcza, po czym bez pośpiechu się oddaliła, cicha, przygarbiona, z potarganymi siwymi włosami.

Po chwili dzieci znów bawiły się piłką, kobieta znów kołysała dziecko, otyłe panie dalej plotkowały i robiły na drutach, a zakochani pogrążali się w szeptanych marzeniach.

Kiedy następnego dnia minąłem się z Leokadią na ulicy, nie zauważyła mnie, tak jak nie zauważała żadnego przechodnia, zatopiona w odcienie własnego wnętrza.



Pod mostem

Następny sierpniowy dzień zapowiadał się pogodnie. Słońce szybko wymiotło poranną mgłę, a nieruchome powietrze pachniało wilgotnymi ziołami.

Wzdłuż niedużego kanału szła kilkuletnia dziewczynka w malinowym płaszczyku. Po jej prawej stronie ciągnęła się wyższa od niej gęstwa pokrzyw. Aby policzkami nie dotykać parzących liści, musiała od czasu do czasu iść samym skrajem ścieżki, tuż przy wodzie, a niekiedy się pochylać i osłaniać twarz rękawem. Powoli zbliżała się do kolejowego mostu. W pewnej chwili pokrzywy się przerzedziły i cofnęły wyżej, na gliniastą skarpe. Most ukazał wszystkie swoje ciężkie, wielkie, strome elementy. Dostrzegła też męczyznę siedzącego w bezruchu na ziemi, a plecami i głową opartego o betonowy filar. Z tej odległości nie mogła zobaczyć, czy śpi, czy patrzy na nią. Przystanąła i obejrzała się za siebie. Przebyta ścieżka zdawała się tonąć w gąszczu parzącego zielska. Znowu spojrzała na człowieka przy filarze. Niech się dzieje co chce. Jakoś przejdzie pod tym mostem. Idąc, upewniała się, że męczyzna jednak śpi. Będąc blisko niego, zauważyła stojącą przy nim butelkę z odrobiną wódki, słoik z kiszonymi ogórkami oraz, rozłożoną obok słoika, zatłuszczoną gazetę, na której leżał chleb, napoczęta kostka masła, kawałek kiełbasy i scyzoryk. Już nie czuła lęku. Stała i z ciekawością zaczęła się przypatrywać nieznanemu. Wszystko, co miał na sobie, było brudne i wygniecione. Jego twarz była niewiele mniej zaniedbana niż ubranie, chociaż jeszcze się nie zatarła jej młodość. Nie był pogrążony we śnie zbyt głęboko, bo poczuł, że ktoś się mu przygląda. Poruszył grdyką pokrytą niebieskawym zarostem i wolno otworzył błękitne oczy. Ujrawszy dziewczynkę, pomyślał w pierwszym momencie, że myli go wzrok. Lecz wkrótce usłyszał dźwięczny głos:

- Dzień dobry!
- Z zakłopotaniem wyjął chusteczkę, wytarł nos i sucho zakaszał.
- Jak się spało? – ponownie zadzwięczały dziecięce, sympatyczne słowa.
- W nocy było zimno, ale dzisiaj będzie piękne słońeczko.
- Co?
- Piękne słońeczko.
- Z kim jesteś?
- Z nikim.
- Jak to? Sama tutaj?
- Co z tego, że sama? Jestem sama i już.
- No dobra. Ale dlaczego stanęłaś przy mnie? Nikt ci nie mówił, żebyś nie gadała na dworze z obcymi, a zwłaszcza z takimi jak ja?
- A czemu?
- Dobrze sobie, czemu. Mało to złych ludzi na świecie? Niektórzy, wierz mi, gorsi są od zwierząt. A czy ja nie wyglądam okropnie? Każdy dzieciak na twoim miejscu już dawno wzięłby nogi za pas.
- Wcale się ciebie nie boję. Ani trochę. Zatrzymałam się, bo kogoś mi przypominasz.
- Dobrze sobie... – znowu zakaszał, tym razem mocniej i dłużej. – Dobrze sobie. A kogo?
- Kogo? No, zwyczajnie... Moja starsza koleżanka, Józia, ma taką książeczkę z modlitwami, a w tej książeczce trzyma obrazki z różnymi świętymi: chudymi, grubymi, młodymi, starymi, różnymi. I właśnie ty jesteś podobny do jednego takiego świętego. Tak. Całkiem podobny z buzi.
- Mężczyzna zatrzęsł się ze śmiechu, który prędko zmienił się w gwałtowny kaszel.
- No nie! Wyśmienite! Całkiem podobny z buzi! – wykrztusił, obcierając palcami łzy. – Jeśli mówisz prawdę, chciałbym zobaczyć tego świętego.
- Mówię prawdę. Zwyczajnie jesteś podobny do niego. Kiedy się jeszcze spotkamy, to ci ten obrazek pokażę.
- Wiesz... – wciąż ciężko oddychał. – No... jak tam tobie?
- Kasia.
- Wiesz, Kasiu, jak się bardzo nie spieszysz, siadaj obok. Pogadamy trochę. Zgoda?
- Jasne. Tyle się nachodziłam, że i trzeba odpocząć.
- Zaczekaj... – zdjął swój sfatygowany beret, otrzepał go z pyłu i położył na kawałku betonu. – Teraz siadaj.

Dziewczynka z zabawną dystynkcją usiadła, odgarniając sobie z czoła czarne włosy. Mógł wtedy lepiej widzieć jej ciemnobrązowe bystre oczy.

– Wolno zapytać, ile Kasia ma lat?

– Niedawno przeszło mi osiem.

– Przeszło osiem. Wiele bym dał, żeby mi tak od nowa przeszło osiem lat. No, ale nic z tego... Pozwolisz, że się napiję? – sięgnął po butelkę. – Za twoje zdrowie.

– Wypij za swoje zdrowie, bo jesteś przeziębiony i kaszlesz.

– No to niech będzie za nasze zdrowie – dwoma haustami wypił resztę wódki, odetchnął i znów zakaszał. – Wszystko się kiedyś kończy, dlatego ta przekłeta butelka też się skończyła – rzekł z goryczą i rzucił butelkę w gęstwinię jakiegoś zielska o wielkich liściach. – A teraz pozwól, że sobie przekąszę.

– Jasne. Przekąś sobie.

– Wprawdzie chlebek się nieco zesechł, ale posmarujemy i będzie w porządku. Tak... – mówił, kładąc masło na kromce. – Ale, ale... Istny gamoń ze mnie. Jak mogłem od razu tego nie zauważyć? Tobie aż oczka się pałą do jedzenia! Może się myłę?

– Nie. Całkiem nie... to znaczy...

– W takim razie będziemy pałaszować wspólnie. Zawsze przyjemniej. Kiełbasy jest za mało dla dwóch głodomorów, więc zje ją ten, kto ma większy głód. Jedz śmiało. Dobrze uwędzona, sucha i nie leży długo na powietrzu – odkroił szczyrykiem grubą kromkę, posmarował masłem i razem z kiełbasą podał dziewczynce.

Ona i tak bez namysłu złapała poczęstunek i natychmiast napeliła nim buzię, żując energicznie i z rozkoszy przymykając powieki.

– Chcesz do popijania kwasu z ogórków?

– Nie lubię kwasu z kwaszonych ogórków ani nie lubię kwaszonych ogórków – wyznała przez zapchane usta.

Gdy już przyjemnie oszołomiona sytością siedziała nieruchomo z rękami na kolanach, zapytał, dojadając swój chleb:

– Można wiedzieć, skąd to taka ośmioletnia panienka wzięła się na tym odludziu? Co to za samotna przechadzka?

– A nie powiesz nikomu?

– Jak kamień w wodę.

– Uciekłam.

– Tak przypuszczałem. Też jako smyk zwałem raz z domu. Nawet fajnie było. Łaziło się, gdzie popadło, jechało na gapę, gdzie popadło. Później

zobaczyłem, ile strachu przeżyła mama i postanowiłem więcej nie uciekać. Twoja mama pewnie się tak samo zamartwia.

– Ja nie uciekałam od mamy czy taty.

– Nie? A jak?

– Już dwa razy uciekałam.

– Dwa razy? Ale od kogo?

– Od nikogo, a z domu dziecka. Kiedyś była w nim taka pani, co bardzo mnie lubiła, brała na kolana, przytulała, kupowała nawet różne rzeczy. Ale musiała potem gdzieś daleko wyjechać. I odkąd jej nie ma, już nikogo nie obchodzę. Dają pojeść, pobawić się zabawkami i nic. I tak uciekam... Bo kiedy ucieknę, to się mną interesują, robią szum, denerwują się, szukają, zawiadamiają policjantów. A jak znajdą, to jedne panie trochę pokrzyczą, drugie są trochę miłsze. I wszyscy mnie pilnują i o mnie pamiętają. Z czasem znowu jestem zapomniana, więc znowu szukam okazji, żeby uciec.

Mężczyzna trwał przez chwilę w zamyśleniu i z jakimś zgaszonym wyrazem twarzy, po czym zmarszczył czoło i smutnie powiedział:

– To tak się z tobą sprawy mają...

– A tak... po prostu... – westchnęła.

– I co dalej? Nie zdzisi ci się to w końcu?

– Nie wiem. Może mi się zdzisi, a może przyjmą jeszcze jakąś panią, która mnie polubi i będzie przytulać, i delikatnie układać włosy.

– Wiesz coś o swoich rodzicach? Żyją?

– Powiedziano mi, że zginęli w wypadku samochodowym, kiedy byłam malutka. Ale ja już w to nie wierzę, bo raz podsłuchałam, że jednak gdzieś tam sobie żyją... No to już pójdę. Nie chcę być za szybko znaleziona. Niech się dłużej pomęczą. Jakby o mnie pytali, to nic nie wiesz.

– Masz zaklepane. Tylko nie chodź nad wodą. Nie chciałbym cię mieć na sumieniu, gdybyś się gdzie utopiła.

– Jasne. Cześć.

– Cześć. I pamiętaj, że obiecałaś mi pokazać tego niby podobnego do mnie świętego, jakbyśmy się jeszcze spotkali.

– Nie zapomnę.

Wstała, włożyła ręce w kieszenie płaszczyka i zaczęła się oddalać. Patrzył na nią, oparty głową o filar.

– Zaczekaj jeszcze! – zawołał, nie podnosząc głowy.

– Co?

– A ten dom dziecka to na Lipowej?

– Tak. Za takim niebieskim ogrodzeniem. A co?

– Nic.

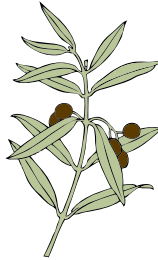
Obserwował, jak w oddali dziewczynka wspina się na gliniaste usypisko i znika mu z oczu. Podniósł beret i, obracając go na dłoni, rzekł z uśmiechem:

„Patrzcie no! Z miejsca gadała na ty, wsunęła wszystko jak zgłodniały wilczek, i to bez żadnego dziękuję”.

Westchnął, włożył beret na głowę i ponownie oparł się o filar. Przez parę chwil pozostał nieruchomy, z oczami pełnymi bladobłękitnego, szklistego połysku. Potem wyjął żółtawy, zatłuszczony portfel i wysunął z niego czarno białą fotografię z widocznym u góry, skośnym przełamaniem. Na fotografii śmiały się dwie twarze – młodej jasnowłosej kobiety i kilkuletniej dziewczynki z jasnymi warkoczykami. Patrząc na te uśmiechy, zapytał:

„I po co ta serdeczność? Przecież tak naprawdę to już mnie nie poznajecie. No bo jak wyglądam? Nie bardzo, co?”

Schował zdjęcie i pomyślał, że chyba dzisiaj wróci do pustego domu, umyje się i ogoli.



Gwiazda Marcina

Czy zdążyliśmy dobrze poznać Marcina? Może raczej wypada nam tylko powiedzieć, że on, niby tajemniczy wędrowiec, opuścił swoją drogę, na chwilę wszedł do naszego domu, ubogacił nas sobą i – nierozpoznany – powędrował dalej?

Halina po urodzeniu Agnieszki nie mogła znowu zejść w ciążę, chociaż bardzo tego chcieliśmy. Lekarze bezradnie rozkładali ręce. Nie wiedzieli nawet, w czym rzecz. Powoli zaczynaliśmy tracić nadzieję. I oto, gdy Agnieszka stała się dorodną siedemnastolatką, życie niespodziewanie zapaliło dla nas zielone światło.

Urodził się w połowie grudnia, przedwcześnie. Trzymał tęgi mróz. Za szpitalnymi oknami stare kasztanowce uginały się pod puszystą bielą. I po co się tak spieszył? Przez kilka tygodni leżał w inkubatorze, tak bezbronny, że same spojrzenia wydawały się zagrożeniem dla jego pomarszczonego, prędko oddychającego ciała. Halina wybrała mu imię Marcin. Tak nazywał się jej ukochany dziadek, który mawiał, że ludzie przeważnie nie rozumieją, iż są stworzeni dla innych i dlatego bywają tacy nieszczęśliwi.

Kiedy już wieźliśmy Marcina ze szpitala do domu, powiedziałem z uśmiechem, że jednak nie mógł maleńki spryciarz lepiej trafić z przyjściem na świat. Był to bowiem czas, gdy skończyły się nasze kłopoty z pracą i zaczynało nam się naprawdę dobrze powodzić. Marcin mógł być nie tylko najbardziej kochanym synem na świecie, lecz także miał zapewniony dobry, materialny poziom życia. Czy mogliśmy wtedy przewidzieć, że właśnie dla niego to życiowe trafienie będzie miało wartość szczególną?

Halina – odkąd pierwszy raz zobaczyła go śpiącego w inkubatorze – zaczęła mieć niejasne przeczucie, że z jego zdrowiem jest coś nie w porządku.

Według szpitalnego personelu dziecko było zupełnie normalnym wcześniakiem, a wszelkie jej obawy to po prostu macierzyńska nadwrażliwość. O tym, że nie był to nieuzasadniony matczyzny niepokój, coraz bardziej przekonywały nas upływające miesiące. Gdy już prawie roczny Marcin wciąż albo był dziwnie bezwładny, niemal się przelewał przez ręce, albo jego rączki i nóżki jakoś nienaturalnie się prężyły, postanowiliśmy go zawieźć do jednego z najbardziej godnych zaufania pediatrów. Był to starzejący się człowieczek o delikatnie pomarszczonej, drobnej twarzy i łagodnym, przytłumionym głosie. Starannie zbadał malca i bez trudności postawił diagnozę – dziecięce porażenie mózgowie, które najbardziej objęło kończyny dolne. Powiedział, że w swojej długiej praktyce lekarskiej zetknął się z wieloma dziećmi, u których schorzenie to wystąpiło w tej postaci, i prawie zawsze umiejętność chodzenia była dla nich niemożliwa do opanowania, a często okazywało się trudne samodzielne siedzenie. Należy tę prawdę, jak łagodnie tłumaczył, po prostu przyjąć do wiadomości i nie robić sobie złudzeń. Umiejętna i jak najwcześniejsza rehabilitacja z pewnością w jakimś stopniu polepszy sprawność fizyczną, zwłaszcza rąk. A najważniejsze, że istnieje duża szansa prawidłowego rozwoju psychicznego, jeżeli oczywiście zapewni się dziecku wyjątkowo troskliwą, jak to określił, opiekę emocjonalną i wychowawczą. Na koniec podał adres najbliższej poradni, która pomaga rodzinom wychowującym dzieci z porażeniami.

I tak oto po tamtej wizycie u starzejącego się profesora rozpoczął się w naszym rodzinnym życiu nowy okres. W sytuacjach trudnych, boleśnie zaskakujących, wymagających wspólnego poświęcenia i bezkompromisowej odpowiedzialności, wychodzi na jaw, ile naprawdę warte są ludzkie więzi i uczucia. I muszę w tym miejscu napisać, że choroba Marcina nie tylko pogłębiła naszą miłość do niego i nie tylko nauczyła nas, jak mamy go leczyć, ale także sprawiła, że my sami pokochaliśmy się jeszcze mocniejszą i dojrzałą miłością.

Patrząc na ładnie ukształtowaną twarz naszego maleństwa, mieliśmy nadzieję, że jego życie duchowe będzie przebiegać normalnie. Nie zawiedliśmy się, co więcej, rzeczywistość przeszła nasze oczekiwania. W miarę jak przybywało Marciniowi miesięcy, okazywał coraz większe zainteresowanie wszystkim, co tylko mógł zobaczyć i usłyszeć. Halina i Agnieszka nie nadążały z zaspokajaniem tej potrzeby zmysłowych wrażeń, kupując rozmaite zabawki i grzechotki, które wieszały na wstążce między poręczami jego łóżeczka albo pod daszkiem wózka. Ale najbardziej mu się podobały tak zawieszane zwykle, dopiero co zerwane liście i polne kwiaty, szczególnie gdy poruszał je

wiatr i oświetlało słońce. Na niemal każde takie doznanie odpowiadał uśmiechem, a uśmiechał się całą twarzą, marszcząc ją od brody po czoło i odsłaniając lśniące, różowiutkie dziąsła. Ciemnoniebieskie oczka, dotąd szukające łakomie i chwytające się każdego ciekawszego koloru i kształtu, w chwili uśmiechu zmieniały mu się w szparki tryskające błękitnymi iskierkami.

Zaczęliśmy wspomagać rozwój tej radosnej, duchowej otwartości. Najpierw, wspólnie z logopedą, nauczyliśmy malca poprawnej wymowy. Cierpliwa praca przyniosła rezultaty. Pięcioletni Marcin mówił zupełnie wyraźnie, a tylko czasem, kiedy był czymś podniecony, zaczynał się lub połykał niektóre głoski. Gdy się zainteresował literkami z kolorowych książeczek, postanowiliśmy nie zwlekać z nauką czytania. I tym razem nasze wyczucie było trafne. Mając zaledwie sześć lat, czytał całkiem płynnie różne bajki i opowieści. Żeby mógł przybrać najwygodniejszą pozycję przy czytaniu i samodzielnie odwracać kartki, wystaraliśmy się dla niego o specjalny pulpit na książki. Pisać nauczył się dzięki komputerowi. Już jako siedmiolatek pisał na klawiaturze prawie bezbłędnie, co prawda bardzo wolno, bo każde naciśnięcie klawisza kosztowało go wiele wysiłku, ale za to z benedyktyńską cierpliwością. Nauczyciele, którzy zaczęli uczyć go w domu, byli zdumieni. Nie ulegało wątpliwości – chłopiec poziomem sprawności umysłowej znacznie przewyższał swoich zdrowych rówieśników.

Kiedy umysł Marcina rozwijał się nadzwyczajnie, jego cielesny rozwój był słabiutki. Choroba nie pozwalała odebrać sobie władzy w sferze ciała. Regularne ćwiczenia prowadzone przez doświadczoną rehabilitantkę spowodowały jedynie, że miał sprawniejsze ręce i umiał siedzieć bez przypinania specjalnymi pasami do oparcia. Nigdy też nie przestał być wątłym dzieckiem, dla którego każda infekcja mogła być niebezpieczna. Dlatego tak troskliwie chroniliśmy go przed przeziębieniami, starając się równocześnie, żeby w tej troskliwości nie było przesady i żeby mu zapewnić jak najlepszy kontakt ze słońcem i świeżym powietrzem.

Życie Marcina, o czym wspominałem na początku, najlepiej traktować jako tajemnicę. Jedną z głównych cech tej tajemnicy było to, że nieustannie nas czymś zaskakiwał.

Mijał wtedy miesiąc od jego dziesiątych urodzin. Siedząc wieczorem przy oknie wychodzącym na południe, zauważył gwiazdę nad dachami jednorodzinnych domków. Wyróżniała się wielkością, jasnością i migotliwością. Trochę dalej od niej, na prawo i nieco wyżej, wyodrębniały się blaskiem jeszcze trzy gwiazdy, ale już mniejsze, położone względem siebie w taki sposób, że przypominały zarys szybującego ptaka. Zapytał, czy wiem, co to za gwiazd-

ny układ. Oczywiście nie miałem pojęcia. Nigdy mnie takie rzeczy nie interesowały. Poprosił, żebym przyniósł mu jakąś książkę o gwiazdach. W naszej biblioteczce udało mi się tylko wyszperać stary podręcznik astronomii. Już następnego dnia radośnie oznajmił, że interesujące go gwiazdozbiory to Orion i Wielki Pies, a niezwykle migotliwa gwiazda to Syriusz, inaczej nazywana Psią Gwiazdą. A gdy się zapoznał z całym podręcznikiem i gdy znowu zobaczył za oknem gwiazdziste niebo, powiedział w zamyśleniu:

– Tato... W tej książce piszą, że gwiazd jest wiele, wiele tysięcy miliardów. Chyba nawet tylu ludzi dotąd nie żyło na ziemi? Prawda?

– Na pewno – przyznałem. – Gwiazdy są niezliczone.

– A więc każdy człowiek mógłby spokojnie wybrać sobie własną gwiazdę? Prawda?

Zgodziłem się, zdumiony jego rozumowaniem.

– To ja też mógłbym sobie wybrać?

– Jeżelibyś chciał...

– Chcę właśnie wybrać tę pięknie migającą i dużą, najjaśniejszą w Wielkim Psie i na całym niebie. Myślisz, że się zgodzi?

– Kto się zgodzi? – spytałem, zdumiony jeszcze bardziej.

– Jak to kto? Gwiazda.

– Hm... Najpierw należałoby przypuścić, że ona w ogóle o nas wie.

– Czemu miałyby nie wiedzieć? Z tej książki dowiedziałem się, że gwiazdy się rodzą, rozwijają, zmieniają i gasną. Nie jest tak wśród żywych istot? A jeśli taka gwiazda jest ode mnie tyle razy większa, to czemu miałyby o mnie nie wiedzieć?

– No tak... – rzekłem, pocierając swoje zmarszczone czoło. – Czemu miałyby nie wiedzieć?

– To myślisz, że się zgodzi?

– Jeżeli naprawdę wie o tobie, to nie tylko się zgodzi, ale z pewnością zaprzyjaźni z tobą – odpowiedziałem.

I tak Marcin znalazł sobie przedziwną przyjaciółkę. Co wieczór wybiegał wzrokiem przez okno w swoim pokoiku, by ponad dachami, antenami i drzewami, jeśli chmury nie przysłaniały nieba, odnajdywać ją pulsującą odwiecznym blaskiem, czystym jak diament. Uśmiechał się wówczas i zaczynał osobliwą, duchową – mimo że niekiedy wymknęło mu się jakieś ciche słowo – rozmowę. O czym jej mówił? Zapewne zwierzał się ze swoich codziennych myśli. A ona? Czy słyszał jej mowę? A co mówiła do niego? Nigdy go o te rozmowy nie pytałem. Czasem tylko miałem wrażenie, że to gwiazdne światelko, z którym się łączył tajemniczą więzią ducha, jest jakimś dalekim

płomykiem świecy, chwiejącym się w jednym z dalekich okien zagubionych we wszechświecie... Przyjaźń ta musiała się jednak pogodzić z kilkumiesięczną rozłąką. Z powodu ruchu sfery niebieskiej gwiazda Marcina stawała się wiosną po prostu niewidoczna. Wraciała z nastaniem zimy. Marcin witał ją radośnie i przeżywał nowe spotkania jeszcze intensywniej.

Nadeszła wyjątkowo chłodna, deszczowa i wietrzna jesień. Marcin miał szesnaście lat. Któregoś październikowego dnia był tylko ze mną w domu. Patrząc przez okno zalewane deszczem, odezwał się z jakąś głęboką, spokojną nutą w głosie:

– Wiesz, tato... Nawet dobrze, że świat jest ostatnio taki brzydki... Bo to na moje pożegnanie.

Deszcz przeszedł mi po plecach. Przeniósł na mnie spokojne, poważne spojrzenie i powiedział:

– Trudno mi to przyjąć, bo z wami jest mi dobrze.

– O czym mówisz?

– Ostatniej nocy usłyszałem jej głos...

– Jaki głos?

– Mojej gwiazdy.

– Gwiazdy? Przecież jeszcze jej nie widać...

– Usłyszałem ją wewnątrz siebie. I wiesz... Nie mów o tym nikomu, zwłaszcza mamie. Nie chcę, żeby się smuciła przed czasem – zamilkł na chwilę i, z przymkniętymi powiekami, oddychał spokojnie. – Powiedziała, że przyśpieszono moje uwolnienie z tej... – szczipłutką dłonią pokazał swoją pierś. – na miarę zbudowanej celi.

– Skąd w tobie takie myśli? – zapytałem, nie mogąc opanować drżenia głosu. – Masz przed sobą całe długie życie i wszelkie dane po temu, żeby zostać pożytecznym człowiekiem, może nawet jakimś naukowcem.

– Myślisz, tato, że na tym oszalałym świecie jest jeszcze miejsce dla pożytecznych ludzi? – spytał smutnie.

– Właśnie dlatego, że świat jest taki, potrzebuje ich bardziej niż kiedykolwiek – odparłem.

– Może i tak... – zgodził się cicho. – Ale to już nie dla mnie.

Tej jesieni szerzyła się ostra grypa. Próbowaliśmy ze wszystkich sił uchronić przed nią Marcina. Nie udało się. W połowie listopada dostał gorączki tak wysokiej, że stracił przytomność. Wkrótce wywiązało się zapalenie płuc. Infekcja szybko się rozwijała mimo jak najlepszej opieki w prywatnym szpitalu. Zmarł w ostatnią listopadową sobotę, nad ranem.

Dopiero po kilku długich tygodniach przemożem się i wieczorem spojrzełem przez okno, przez które on patrzył tak często. Ponad zasypiającymi domami jaśniała pulsującym blaskiem gwiazda – jego gwiazda. Dlaczego byłem zdumiony, że pozostała dokładnie taka sama, po dawnemu diamentowo świetlista? Ale czy ona, mająca miliony lat własnego istnienia za sobą i miliony lat przed sobą, mogła się przejąć drobnutkim istnieniem naszego syna? A jednak... Kiedy od czasu do czasu na nią patrzę, zdaje mi się, że w jej rozmigotanej świetlistości zauważam odbłask maleńkiej, uśmiechniętej iskry jego życia.



Brygida

Była drobną czternastolatką, która pisała wiersze. Co pewien czas odkrywała w sobie garstkę słów, które, niby młode ptaki nie mieszczące się już w gnieździe, pragnęły wolności. Siadała więc, brała coś do pisania i z radością lekkością kładła te słowa na papier. Chciała mieć chociaż jedną własną tajemnicę, dlatego nikomu o tym nie mówiła. Każdy wiersz pisała na oddzielnej kartce, którą starannie składała i chowała do lipowej szkatułki zamykanej miedzianym kluczykiem. A kluczyk wieszala sobie na szyi. Pisywała od dawna, zatem lipowa szkatułka stała się schronieniem dla całego poetyckiego, dziewczęcego świata. W świecie tym znalazła się i czarno biała kotka razem ze swoimi kociakami, jak ona czarno białymi prócz jednego zupełnie rudego, i opowieść o pierwszej, skrywanej miłości, przesadnie poważnej i uroczo niepoważnej, i drewniany, nie zamieszkały domek, w którego tajemniczych okienkach – odkąd pamiętała – sterczały wyschłe kikuty kwiatów, i jeszcze wiele innych fascynujących spraw i zjawisk.

Nie lubiła swojego wyglądu. Prócz tego, że była drobna, sprawiała wrażenie jakiejś kanciastej, nieharmonijnie zbudowanej. Twarz miała niepozorną, taką dziwnie chłopięcą, oczy szarozielone i nieśmiałe, a włosy uparcie nie poddające się czesaniu, to bezładnie rozsypane, to nastroszone. W dodatku wszystkie rzeczy jakoś nie wyglądały na niej dobrze, choćby najlepiej uszyta i najmodniejsza sukienka.

Pewnego wieczoru, gdy była już w łóżku i czytała Parandowskiego, do jej pokoju wszedł ojciec, aby na dobranoc pocałować ją w czoło. Gęstą, szpakowatą brodę, pachnącą piwem i tytoniem, przycisnął do jej twarzy i zapytał:

– I jak, córeczko? Wszystko gra?

– Tak, gra – odparła cicho.

– I wybaczysz mi, że znowu mnie nie widziałas cały dzień i że sobie trochę podpiłem?

– Tak.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Zawsze się staram cię zrozumieć.

– Dobrze, że przynajmniej ty, bo mamie jakoś to nie wychodzi. Śpij słodko.

– Chcę ci jeszcze coś powiedzieć... – rzekła z dziwną powagą. – Już dawno chciałam, ale nie było okazji.

– Mów wszystko, co chcesz – usiadł na brzegu łóżka.

– Mam czternaście lat, a wyglądam na jedenaście. Koleżanki z klasy są już pięknie rozwinięte, mają chłopaków, a ze mnie wciąż takie niewyrośnięte straszidło. Czemu akurat ja jedna jestem wśród nich niewyrośnięta i brzydka? Przecież według naszej lekarki nic mi nie dolega, a mama jest całkiem ładna. Jeśli jestem jakimś brzydkim kaczątkiem, to trwa to stanowczo za długo. Zaczynam mieć już tego dość – powiedziała z oczami pełnymi powagi i smutnego, migotliwego blasku.

– Ojoj! – westchnął dobrodusznie i wziął w swoje gorące dłonie rękę Brygidy. – Moja ty urocza brzydulo! Wprawdzie trudno się upierać, że jesteś wyrosniętą pięknoscią, ale też nie można powiedzieć, żebyś była brzydka. Musisz się jeszcze postarać o cierpliwość. Na pewno cię nie zawiedzie. Możesz mi śmiało uwierzyć – tajemniczo przymrużył lewe oko i potrząsnął jej ręką.

– Jak to? – zapytała z niezmienną powagą w okrągłych oczach, a jednocześnie z mimowolnym uśmiechem.

– Zostałaś ulepiona ze szlachetniejszej gliny. Nie jesteś daleka od prawdy, wspominając o łabędziatku z baśni. Nie mówię ci tego, żebyś popadła w pychę. To po prostu rzecz, którą dostałaś za darmo. Nic więcej.

– Nie rozumiem...

– Wdałaś się w swoją prababkę, a moją babkę, Janinę Łanowską. To ona przed wojną gospodarzyła w swoim dużym majątku na Polesiu. Pamiętam ją dobrze, chociaż byłem wtedy zupełnym szkrabem. Chodziła zawsze w najzwyklejszych materiałach i nie nosiła żadnej biżuterii, a pochodziła ze starego szlacheckiego rodu. Nie mogę sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek była wyniosła. Mimo to i mimo podeszłego wieku miała tyle szlachetnego uroku i tyle naturalnej godności, że wszyscy okoliczni chłopcy witali ją z niezmiennie szczerym szacunkiem, prawie jak jakąś królową. Ojciec opowiadał mi, jak to za czasów jej młodości całe Polesie nie znało piękniejszej od niej kobiety. To ona, jestem o tym przekonany, wywarła największy wpływ na

twoją urodę, Brydziu, chociaż umarła dwadzieścia pięć lat przed twoimi urodzinami.

– Mam w to uwierzyć? – spytała z łagodnym wyrzutem. – Przecież widziałam babcię Łanowską na fotografiach. Czy chociażby w odrobinie, chociażby w jakimś odblasku ją przypominam?

– Brydziu, Brydziu... – szorstką opuszką grubego palca zgarnął jej włosy z czoła. – Człowieka, a zwłaszcza kobietę, można porównać do szczególnej budowli. Wytorny dworek trzeba budować o wiele dłużej niż sosnową chatę krytą strzechą. Co dopiero mówić o postawieniu stylowego pałacu z jego harmonijną architekturą, filigranowymi schodami i smukłymi wieżami? O ile więcej czasu należy poświęcić na zbudowanie czegoś takiego? Szlachetność wymaga spokojnej dokładności, dokładności zaś potrzebny jest czas. Dlatego powinnaś się uzbroić w cierpliwość. A teraz... – szepnęła i znowu pocałował ją w czoło tak, że znowu odetchnęła słodkawo cierpkim zapachem piwa. – Odlóż już książkę i zaśnij.

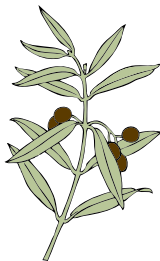
Opuszczając pokój, przystanął, obrócił się do niej i dodał:

– Tylko nie myśl, że mówiłem jakies bujdy. Nie umiem cię okłamywać.

I uwierzyła tym słowom. A wiara, jeżeli wystarczająco okrzepnie, potrafi się przeistoczyć w rzeczywistość.

Po kilku latach nikt w Brygidzie nie poznawał dawnej niepozornej dziewczynki o stale rozsypanych włosach. Wyrosła na tak piękną kobietę, jak gdyby szlachetna uroda jej prababki naprawdę pokonała tajemny most rozpięty nad przepaścią śmierci, aby na nowo zakwitnąć.

A co z poetyckim, dziewczęcym światem? No cóż... Został w lipowej szkatułce, która z czasem spoczęła w najbardziej zakurczonym kącie strychu, wśród innych porzuconych pamiątek z dzieciństwa. I Brygida nigdy już nie napisała ani jednego wiersza.



Deszcz

Dariusz nie pamiętał rodziców. Od wczesnego dzieciństwa wychowywała go babcia, niska, pulchna, o okrągłej, sympatycznej twarzy, która, odkąd pamiętał, pokryta była całym mnóstwem drobniutkich zmarszczek, niby skórka świeżo wypieczonej, chrupiącej bułeczki.

Kiedy skończył osiemnaście lat, babcia niespodziewanie umarła. Czuł się już jednak wystarczająco dorosły, aby zacząć samodzielne życie. Najpierw musiał zdecydować, gdzie dalej będzie się uczyć. Jakoś nie przyszło mu to łatwo. Marzeniem babci było, żeby został lekarzem, więc w końcu wybrał medycynę.

Był już po pierwszym roku studiów. Tamtą ostatnią lipcową niedzielę zapamiętał tak wyraźnie jak żadną inną w życiu. Nie zapowiadała się pogodnie. Rankiem spadła ulewa, która z wolna przeistoczyła się w upartą mżawkę. Lecz gdy minęło południe, padać przestało, a słoneczne promienie łały się złościście na mokre ulice. Po obiedzie postanowił odwiedzić Wrotycza, jednego ze swoich najlepszych przyjaciół, a zwłaszcza chciał się zobaczyć z jego siostrą, Martą, śliczną, jasnowłosą i szarooką siedemnastolatką. Przedwczoraj, zapewne wspaniale opalona, wróciła znaną z Morza Czarnego. Pomyślał z nieco przekornym, wewnętrznym uśmiechem, że warto by było się w niej zakochać. Już na to najwyższy czas. Włożył śnieżnobiałą, doskonale na nim leżącą koszulę, jasnobezowe, nienagannie wyprasowane spodnie, beżowe wąskie buty z cielęcej skóry – prezent od wujka ze Szwecji – i wyglądał naprawdę elegancko.

Między północnym krańcem miasta a domem Wrotyczów, stojącym samotnie na skraju pól, znajdował się dość rozległy plac, na którym co środę był targ. Czasem organizowano tam rozmaite festyny, turnieje, wyścigi rowe-

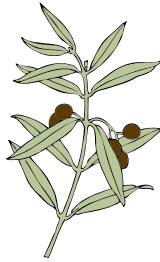
rowe dla dzieci, a niekiedy rozkładano wielki cyrkowy namiot albo budowano kolorowy i hałaśliwy lunapark. Teraz było tu zupełnie pusto i cicho. Dariusz energicznie kroczył środkiem placu, swoim zwyczajem tak zamysłony, iż zdawało się, że tylko dzięki jakiejś podświadomej orientacji, niczego nie widząc i nie słysząc, szedł do celu. W pewnym momencie zwolnił kroku, a po chwili się zatrzymał. Rozejrzał się ze zdumieniem, nie umiejąc zrozumieć, dlaczego stanął. Czyżby ktoś go wołał? Przecież nikogo nie było. Wszędzie wokół, na żółtawobrunatnej, udeptanej ziemi, tylko kałuże srebrzyły się i marszczyły od łagodnych podmuchów wilgotnego wiatru, niby porzrzucane, postrzępione kawałki jedwabiu. Jedyne bardzo daleko, już wśród zabudowań, jakaś mlecznobiała postać pchała coś, co najprawdopodobniej było dziecięcym wózkiem. I wtedy, jak gdyby miało to jakiś sens, spojrział w górę. Dokładnie nad sobą, pośrodku delikatnie zamglonego nieba, zobaczył średniej wielkości chmurę, której zachodnia krawędź zakrywała słońce. Słoneczne promienie ciemnymi i jasnymi pasami przesywały skłębione, pulchne wnętrza chmury, rozświetlając ją białym i żółtym ogniem. Odniosł wrażenie, że cała ta wypełniona ciszą przestrzeń razem z wiszącą w zenicie, samotną chmurą kryje w sobie coś osobliwego, tajemniczego, napawającego jakimś nieokreślonym lękiem i czymś uroczystym, a jednocześnie coś przeznaczonego właśnie dla niego. Przeszedł go dreszcz. Nigdy dotąd nie doświadczył czegoś podobnego. Ale po co ma tu dłużej stać? Zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy spadły mu na głowę pierwsze grube krople, a równocześnie słońce w całym swoim blasku wysunęło się zza chmury. Znowu stanął i rozejrzał się. Teraz nad rozslonecznionym placem migotał dreszcz, jak tysiące szklanych paciorków. I znów opanowało go to przedziwne uczucie, jeszcze bardziej podniosłe i przenikające do głębi duszy. „Dreszcz w słońcu... I wygląda na to, że pada tylko na mnie, a raczej tylko dla mnie... Dla mnie? Co to znaczy?” – pomyślał i nagle poczuł się jak zagubiony w podziemiach człowiek, który niespodziewanie i natychmiast wydostaje się na oślepiające światło dnia. Uniósł dłonie do twarzy, osunął się na kolana i, drżąc z płaczu, upadł piersią w kałużę.

Upłynęło parę minut.

Pchając wózek, szła przez plac kobieta w mlecznobiałej sukience, ta sama, którą widział w oddali. Ujrawszy go leżącego w kałuży, podeszła ku niemu i, pokonując lęk wymieszany ze zdumieniem, zapytała, czy nic mu nie jest. Poruszył się i wolno wstał. Zaniemówiła, widząc jego sympatyczną, promieniującą szczęściem twarz, na której lśniły łzy i ciemniały drobinki błota. W milczeniu, z promiennym uśmiechem, popatrzył na jej młodą, smukłą postać i na dziecko, które spod budki wózka śmiało się do niego, przymrużając

pastelowobłękitne oczka. Zawładnęła nim taka tkliwość, że, zapomniawszy o tym, iż jest całkiem mokry i pomazany błotem, objął kobietę i przycisnął do siebie. Chciał też objąć dziecko, ale w porę się opamiętał. Biegąc w kierunku miasta, do domu, obrócił się jeszcze i zawołał: „Przepraszam! Przepraszam, że panią pobrudziłem! Przepraszam!” Długo patrzyła za nim, nie mogąc ochłonąć z oszałamiającego zdumienia.

Po kilku latach odprawił swoją pierwszą Mszę świętą i niebawem stał się jednym z tych kapłanów, którzy potrafią otwierać każde serce, nawet to najbardziej kamienne albo wyschnięte na popiół.



Klara

Było sobotnie popołudnie. Lipcowy upał nieznośnie zagęszczał powietrze. Cienistą parkową aleją powoli szła jedenastoletnia Klara razem ze swoją mamą. Dziewczynka była w kremowej sukience w żółte ciapki. Płowe, kręcone włosy, odstające, przyduże uszy, drobne, piwne, niezwykle połyskliwe oczy, spiczasty, piegowaty nos i maleńkie usta upodabniały ją do jakiegoś leśnego zwierzątka. Mama, ubrana w jasnobezową sukienkę, miała prawie taki sam spiczasty nos i prawie takie same piwne oczy. Mimo wysokiej, wręcz chudej postaci, nacechowanej osłabieniem po przebytej chorobie, poruszała się z tą pociągającą elegancją, która wydaje się wrodzona i niezniszczalna.

Nie wiadomo skąd nadleciał wietrzyk i zburzył upalną gęstość powietrza. Płowowłosa dziewczynka kroczyła z powagą na buzi i zdawało się, że przez cały czas przygląda się swoim białym, lakierowanym sandałom. Mama przeciwnie, lekkie spojrzenie przesuwiała to tu, to tam, czasem patrzyła bez troski na korony drzew, jak gdyby szukała ptaków. W pewnej chwili znalazła coś w myślach, spojrzała na córkę i dwoma palcami poprawiła jej loczek za uchem.

– Co z tobą, Klarciu? Odkąd wróciłam z sanatorium, jesteś jakaś dziwna. Martwisz się mną? Przecież jestem już prawie zdrowa – rzekła z uśmiechem i poruszyła jej drugi loczek, przy skroni.

Klara, z mocno bijącym sercem, zastanawiała się, czy powiedzieć, czy nie powiedzieć, i nadal spoglądała gdzieś w dół. Namówiła mamę na ten spacer właśnie po to, aby o wszystkim powiedzieć i wreszcie doznać ulgi. Lecz teraz obudziły się w niej wątpliwości i wzmógł się ów, najgorszy ze wszystkiego, bolesny wstyd, który tamuje oddech i rumieni policzki. Nie... Niczego nie powie. A tak po prawdzie, czy w ogóle wypada to mamie mówić? Wcześniej

czy później sama się dowie.

Mama tymczasem dostrzegła u córki jakąś wewnętrzną walkę i łagodnie się odezwała:

– Coś mi się zdaje, że moja Klarcia ma przede mną pewną tajemnicę i jakoś nie znajduje w sobie śmiałości, żeby mi ją wyjawić, chociaż tego bardzo chce. Prawda? No, spójrz na mnie.

Klara nie podniosła zarumienionej buzi i wciąż milczała.

– Czyżby sprawa wyglądała aż tak poważnie? Nie zrobiłaś chyba nic takiego, czego musiałabyś się wstydzić? Zgadza się?

Dziewczynka cicho potwierdziła.

– A więc o co chodzi? Nie masz do mnie zaufania? Czy kiedykolwiek nie mieliśmy do siebie zaufania?

– Ale to jest takie... takie... Nie wiem, jak o tym mówić...

Mama uśmiechnęła się i znowu poprawiła Klarze jakiś pływoczek.

– Mów śmiało. Może wspólnie znajdziemy jakąś radę.

– Ale nie powiedz tacie, że ja ci to mówiłam. Chcę, żebyś to przyrzekła.

– Dlaczego?

– Przyrzeknij.

– No dobrze. Przyrzekam.

Klara przeknęła ślinę, ponownie skierowała lśniące oczy ku ziemi i, z rumieńcami na policzkach, zaczęła półgłosem opowiadać:

– Przez te tygodnie, kiedy byłaś w sanatorium, prawie codziennie przyjeżdżała do nas taka pani Janka – taty przyjaciółka z pracy. Przywoziła jakieś papiery do jakiegoś wspólnego z tatą wypełniania i nieraz przygotowywała nam obiad i kolację. Była dla mnie bardzo miła i chciała, żebym jej mówiła po imieniu. Ale ja szybko przestałam ją lubić, a nawet, chociaż wiem, że to grzech, chciałam, żeby miała jakiś okropny wypadek i przynajmniej poprzecinała tą swoją lalkowatą twarz, kiedy będzie jechać tym swoim zgniłozielonym fiatem. Czasem zabierali mnie ze sobą do różnych kawiarni i do jej domu. Tato zachowywał się przy niej inaczej niż przy tobie. Był miłszy, żywszy, rozmowniejszy. Niekiedy go nie poznawałam. Pewnego dnia niespodziewanie podarował mi bilet na film, który już dawno chciałam zobaczyć, i poszłam do kina. Ale okazało się, że film przełożono na następny dzień i wróciłam... – zamilkła na chwilę, by z jakimś smutnym spokojem odetchnąć głębiej. – Wróciłam, a drzwi były otwarte, więc od razu weszłam. A oni siedzieli blisko siebie, byli zgrzani, oddychali szybko i wyglądali na mocno wystraszonych moim przyjściem. Ona prędko zapinała bluzkę i próbowała się do mnie uśmiechać tymi swoimi wstrętnymi, grubymi ustami.

I może myśleli, że niczego nie zrozumiałam. A mi wtedy zrobiło się strasznie żal taty. Wiesz, zrobiło mi się go tak żal, że nie miałam siły płakać. Odtąd już się przy mnie nie spotykali – umilkła, wpatrzona nadal w ziemię i pełna czegoś smutnie poważnego, co przy jej jeszcze dziecięcym wyglądzie, przy odstających uszach i piegowatej buzi, sprawiało dziwne wrażenie. Spodziewała się, że mama z początku nie będzie mogła uwierzyć, później obejmie ją, przytuli i razem zaczną się użalać nad nieszczęśliwie złym, lecz wciąż ukochanym ojcem. Mama jednak wysłuchiwała wszystkiego spokojnie i zastanawiała się nad czymś w milczeniu.

– Czemu nic nie mówisz? – zdumiona Klara spytała po chwili.

– Jakaś ty, Klarcu, jeszcze głupiotka... Myślałaś, że o niczym nie wiem?

Dziewczynka zatrzymała się, jeszcze bardziej zdumiona, i szeroko otwartymi oczami popatrzyła na mamę.

– Jak to? Wiedziałaś o tym? Już o tym wiedziałaś?

Miała tak szczery i bezradny wyraz osłupienia między odstającymi uszami, że mama, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu, przygarnęła ją do siebie.

– Oj, Klarcu, Klarcu...

– Jak to? Nie wierzę, że już wiedziałaś.

– Dziecko drogie, czy możesz rozumieć podobne sprawy? Oczywiście, że wiedziałam o wszystkim, i to od dawna.

Zaczęły iść powoli. Klara, przygarnięta do boku mamy, nadal nie umiała zapanować nad głębokim zdziwieniem.

– Jak to? Wiedziałaś i nic nie zrobiłaś, żeby temu przeszkodzić? – pytała.

– I zachowywałaś się tak, jakby tego wcale nie było?

– A jak się miałam zachować? To dorosły człowiek. Robi to, co chce.

– Ale przecież... przecież... Nie mogłaś na to pozwolić...

– To chciałabyś, żebym go sobie przywiązała do szyi? – cierpliwie tłumaczyła miękkim głosem. – Nie jest naszym niewolnikiem. Poza tym, z takimi sprawami, kiedy już się zaczną, najlepiej się tylko pogodzić.

Klara postanowiła nie wspominać więcej o ojcu i znów spuściła głowę. Oprócz większego wstydu czuła teraz kompletny duchowy zamęt.

W pewnym momencie podszedł do nich elegancki, barczysty mężczyzna o brodatej twarzy. Mama przedstawiła go Klarze jako swojego wypróbowanego przyjaciela. Okazało się, że podobnie jak oni, korzystając z pięknej pogody, wybrał się na spacer. Zapytał mamę o samopoczucie po tak długim leczeniu. Dziwnie rozpromieniona, odpowiedziała, że czuje się już całkiem dobrze i chce jak najszybciej zapomnieć o męczącej sanatoryjnej bezczynno-

ści. I w ten sposób zawiązała się wartka, przeskakująca z tematu na temat, rozmowa.

Klara szła poboczem alei i milczała. Do jej świadomości docierały jedynie melodie dwóch splecionych ze sobą głosów – zrównoważonego głosu męskiego i żywego, kobiecego szczebiotu. Już wówczas kielkował w niej wstręt do czarnobrodego mężczyzny, do jego mądrego, wysokiego czoła, do czarnych, przenikliwie patrzących oczu, do szerokiego nosa i do mięsistych warg.

– Nic ci nie jest, Klarciu? Wyglądasz jakoś niewyraźnie – niespodziewanie zagadnęła mama.

Zaskoczona dziewczynka nie umiała pozbierać myśli jak ktoś nagle obudzony.

– Pytam, czy nic ci nie jest, bo jesteś jakaś blada. Prawda, że trochę zbladła?

– Może panna ma po prostu ochotę na orzeźwiającego loda? – rzekł z uśmiechem mężczyzna.

– To dobry pomysł – zgodziła się mama. – Dzisiaj jest wyjątkowo ciepło. Chcesz loda, tak? Pamiętasz, zaraz koło tamtego wyjścia otworzyli kiosk z lodami. Ach, prawda... Nie wzięłam pieniędzy.

– Nie ma się czym przejmować – mężczyzna wyjął skórzany portfel, z którego wyciągnął złożony starannie banknot. – Masz, kup sobie coś jeszcze. Tam, zdaje się, widziałem kramiki ze słodyczami i owocami. I nie przynoś reszty – zwrócił się do Klary.

Apatycznie podziękowała i wolno odeszła, skręcając w boczną alejkę. Gdy za krzewami ucichł męski, zrównoważony głos wymieszany z kobiecym szczebiotem, przystanąła i rozejrzała się. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, weszła między drzewa i stanęła przy starej sośnie. Gniotąc banknot w dłoni, przyłożyła czoło do splekanego pnia i zaczęła cicho płakać. Z płaczu drżały jej drobne ramiona, plecy i kolana. Wydawało się, że drżenie to przenosi się na gruby pień, tak iż drży cała ta wielka sosna, od wierzchołka aż po korzenie.

Grudniowa noc

Kończył się grudzień. Noce były bardzo mroźne.

Tej nocy niebo było bezchmurne i niezwykle głębokie, chociaż przy ziemi szalał wiatr, przewalając tumany suchego śniegu. Przez okno sypialni na dziesiątym piętrze zaglądał wielki księżyc i rzucał na łóżko szeroką smugę miękkiego, żółtawego światła. Gdy porywy wiatru się wzmagaly, zdawało się, że skłębiony, śnieżny pył wlatuje aż do samego księżyca i połyskuje między zasłonami okna.

Prawą dłoń podłożył pod głowę i, wsłuchując się w zamieć, daremnie czekał na sen. W pokoiku za ścianą spały dzieci. Spróbował wyobrazić sobie, jak śpią. „Halinka zapewne przekrzywiła główkę w tył, lekko otworzyła buzię i odkryła się do połowy. Często zrzuca kołderkę. Marcinek znowu śpi na brzuszku, a do policzka przyłożył rączkę. A Anna? Też śpi?” – pomyślał i spojrzął na żonę, oświetloną promieniami księżyca. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Chyba poczuła jego wzrok, bo poruszyła dłonią na kołdrze i otworzyła oczy.

– Nie śpisz. Aniu?

– Nie mogę... Ten wiatr... – szepnęła. – Jakie to dziwne, niebo takie pogodne, a na dworze zamieć.

– Ale dzieci sobie smacznie śpią. My też powinniśmy – rzekł z uśmiechem.

– Myślisz, że śpią? Zaraz sprawdzę.

Bezszelestnie wstała i, stąpając cichutko bosymi stopami, weszła do dziecięcego pokoiku. Po chwili wróciła i wsunęła się pod kołdrę.

– Usnęły twardo – powiedziała. – Marcinek ślicznie leży na brzuszku, a Halinkę musiałam okryć kołderką, bo się całkiem odkryła. Kiedy byłam mała, też się odkrywałam. Czemu się śmiejesz?

– A tak...

Przez parę minut leżeli w milczeniu. Za oknem nieustannie przetaczał się wicher, z wyciem uderzając o bloki osiedla, a księżyc z lodowatą obojętnością nadal jaśniał między zasłonami.

– Aniu – odezwał się cicho.

– Co?

– Jutro minie siedem lat od naszego ślubu.

– Jesteś tego pewny? – spytała obojętnie.

– Pamiętasz? Rano było piękne słońce. Odbijało się od śniegu i raziło w oczy. A potem ni stąd, ni zowąd zrobiła się wielka zadymka, prawie taka jak ta teraz. I kiedy wychodziliśmy z kościoła, wszystkich grubo obsypało śniegiem. Tylko na tobie nic nie było widać...

– Chcesz coś z tej okazji przygotować? Lepiej zaczekajmy na rocznicę poważniejszą i okrągłą – odparła ziewając.

– Możemy poczekać... Ale siódemka to też niezwykła liczba, magiczna...

– wyszeptał i delikatnie przesunął opuszki palców po jej ręce, od ramienia do dłoni.

– Czasem jesteś zabawny – zauważyła, cofając dłonie.

Ponownie zapadło dłuższe milczenie. Zamieć nawet na moment nie osłabła.

– Co byś powiedziała, gdybyśmy jednak tą siódemkę jakoś zaznaczyli? – spytał.

– W jaki sposób zaznaczyli? Kupisz mi jakiś banalny upominek? A może niebanalny? Stać cię na to? A może w domu upijemy się winem? Albo pójdziemy do wytwornej restauracji? Nie znoszę restauracji, zwłaszcza tych wytwornych – rzekła bezbarwnym głosem. Wciąż oblana księżycową poświatą, miała dziwny, suchy wyraz twarzy, który widział u niej po raz pierwszy. Najdziwniejsze były jej oczy – trochę powiększone, pełne głębokiego i zimnego blasku.

– Po co zaraz do restauracji? – odparł łagodnie. – Ze studenckich czasów znam taki przytulny, zawsze niemal pusty lokalik na skraju miasta. Takie miejsca nigdy się nie zmieniają. Chcesz, po południu zawieziemy dzieci do mamy i wybierzemy się tam. Zobaczysz, będzie całkiem przyjemnie.

– Jak przyjemnie?

– No... Weźmiemy dobrego zimnego szampana i w miłej atmosferze porozmawiamy o naszych siedmiu latach. Poukładamy sobie pewne sprawy i na pewno odnajdziemy te, które przez siedem lat zdążyły nam gdzieś umknąć.

– Myślisz o zupełnej szczerości?

– Naturalnie.

– To byłyby dobre, gdyby nie jedno niebezpieczeństwo – powiedziała apatycznie.

– Jakie? – podniósł się i oparł na łokciu, aby wygodniej obserwować jej twarz.

– Jakie? – uśmiechnęła się z lekką ironią. – Gdybyś zadał najprostsze pytanie.

– To znaczy?

– Jeślibyś po prostu zapytał, jak mocno cię Kocham albo czy w ogóle cię Kocham, musiałabym odpowiedzieć, że nie kochałam i nie Kocham. Co tak patrzysz?

– Jakaś ty dziwna, Aniu...

– Czemu dziwna? Naprawdę nie kochałam cię i nie Kocham.

– Mówisz poważnie?

– Najzupełniej poważnie.

Zamilkli na chwilę. Wsparty na łokciu, spoglądał na nią tak, jakby patrzył w staw, chcąc przeniknąć go wzrokiem do samego dna. Zdawało mu się, że widzi jakąś inną, obcą kobietę.

– Może nie jestem już dla ciebie tym, kim byłem dawniej, ale z początku kochałaś mnie na pewno. Nie... Przecież i teraz Kochasz jak przedtem.

– Tylko ulegałam ci i ulegam w wielu sprawach. Oto cała miłość z mojej strony – odparła z bezlitosnym spokojem.

– Nie wierzę.

– Chcesz to nie wierz.

Położył się na wznak i przez parę minut nad czymś rozmyślał, a jego oczy połyskiwały nad czymś bezradnie. Potem wstał, zapalił papierosa i, chodząc tam i z powrotem po rozświetlonym księżycem pokoju, mówił powoli:

– W takim razie po co... po co to wszystko? Nie umiem zrozumieć, jak możesz żyć w ten sposób? Jak wytrzymujesz to ciągle oszukiwanie mnie?

– Wyglądasz nawet zabawnie, kiedy tak chodzisz z papierosem i popielniczką z kąta w kąt. Nie wydaje mi się, żebym cię kiedykolwiek oszukiwała. To tylko ty widzisz we mnie to, co chcesz zobaczyć.

Zmarszczył brwi, zaciągnął się dymem i stanął przy firankach. Za oknem, w dole, kłębił się rozpylony śnieg. W bieli znikły samochody i niższe drzewa, a bloki wydawały się unosić ponad obłokami.

– Dlaczego za mnie wyszłaś? – spytał jakoś bezdźwięcznie. Papieros rozżarzył się i oświetlił mu twarz czerwonym blaskiem.

– A dlaczego miałam nie wyjść? Byłeś zakochany po uszy, a ja nie chciałam zostać starą panną. Wiedziałam, że jesteś spokojny, dobrze wykształcony, że nie masz skłonności do alkoholu, że zapewnisz rodzinie przyzwoite utrzymanie i że zawsze mi będziesz wierny.

– Naprawdę nigdy mnie nie kochałeś? Nie chciałeś kochać? A może tu chodzi o kogoś innego?

– Nikogo innego nie było i nie ma. Ty wystarczasz mi całkowicie.

– Ale mnie nie kochasz?

– Nie Kocham.

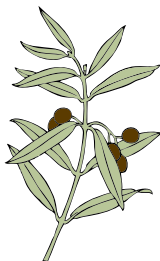
Zaśmiał się cicho i wciągnął w płuca dym.

– A co z dziećmi? Ich też nie kochasz?

– Kładź się już. Od okna trochę więcej. Jeszcze się przeziębisz – rzekła miękko i sennie.

Zgniół niedopałek w popielniczkę i położył się do łóżka. Zamieć ucichła dopiero nad ranem, a w dzień piękne słońce rozpałało śnieg do białości, od której piekły oczy.

Po dziewięciu miesiącach Anna urodziła trzecie dziecko – zdrowego, tłuściutkiego chłopczyka o zjeżonych włoskach – i cała rodzina była bardzo szczęśliwa.



Ostatnie spotkanie

Wspomnienia bezwiednie się nawarstwiają, zacierają, płowieją, stygną i kamienieją. Nie wszystkie. Zdarza się niekiedy, że pod tym martwym piaskiem i mułem kryją się delikatne okruchy życia, maleńkie ogrody, trwające w swojej pełnej barwie i ciepłej świeżości, jak gdyby strumień czasu złożył je w jakiejś niezniszczalnej niszy.

Marek spędził tamten gorący sierpień u cioci, na wsi leżącej w widłach Niemna i Kotry. Był wtedy wysokim, chudym dziesiętnastolatkiem o dużych, mocno połyskujących oczach. Od dzieciństwa zmagając się z gruźlicą, miał za sobą następne długotrwałe leczenie w sanatorium i dlatego jeszcze bardziej pragnął wiejskiej swobody. Chawa również była tu u krewnych. Przyjechała z Wilna. Miała dwadzieścia jeden lat. Poznali się na targu, w najbardziej zatłoczonym miejscu. W jej spokojnych, ciemnobrązowych i z lekka uśmiechniętych oczach zobaczył słoneczny blask rozlany wśród kur, gęsi, koczaków, kolorowych chust i rozgadanych ludzi. Poczul się wówczas prawie tak jak czuje się wędrowiec, gdy ze znaków na ziemi niejasno wyczyta, że oto po długiej podróży wrócił do drogiego mu kiedyś miejsca.

Podobało mu się jej wewnętrzne wyciszenie, którym zawsze delikatnie promieniowała. A wewnętrznie wyciszona potrafiła, jak nikt inny, ze spokojną otwartością wysłuchiwać drugiego człowieka. Kiedy mówił do niej, wiedział, że żadne słowo, żaden gest nie uchodzi jej uwagi. Ale gdy ona mówiła, a często opowiadała mu o różnych przedziwnych rzeczach ze swojego świata, on sam uczył się wyciszać i słuchać.

Niemal każdy dzień upływał im na długich spacerach po okolicy. A wokół

rozpościerało się prawdziwe morze lasów, łąk i pól. Zdawało im się, że zielen ta została stworzona tylko dla nich, żeby mogli się w niej ukryć przed całym światem. Nikt nie policzy leśnych i łąkowych ścieżek, które wtedy wspólnie odkryli. Wiele z nich wydawało się nie dotkniętych od bardzo dawna ludzkimi stopami. Gubiły się one wśród jasnot, bylic i głogów, między wysmukłymi łodygami nawłoci i sadźca, tam gdzie sierpniowe słońce, kiedy leżeli na plecach, przeświecało przez liście, kwiaty i uniesione dłonie, jak przez witraże. Doprawdy, nie mogli i nie chcieli myśleć, że wszystkie te słoneczne chwile, ich chwile, muszą przeminąć.

W nocy przed wyjazdem Marek leżał w ubraniu na pościelonym łóżku i niecierpliwie odliczał godziny dzielące go od ostatniego spotkania z Chawą. Gdy umówiona pora wreszcie nadeszła, orzeźwił się zimną wodą i opuścił dworek. Niebo zaczynało się już rozjaśniać, mimo że gwiazdy iskrzyły się jeszcze wyraźniej i rozrzucone były szeroko. Powietrze było ciepłe i nieruchome. Wszędzie panowała wyjątkowa cisza, nawet żaden wiejski pies się nie odzywał. Słyszał tylko, jak pod butami szeleszczą przywiedle kępkę traw. Z początku szedł twardą jak kamień drogą wśród pól, później skreślił w lewo i ruszył przez łąkę, potrącając wonne skupienia bylicy. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie łąka wchodziła klinem w ścianę lasu, nikogo nie zauważył. Na próżno się rozglądał i zatapiał spojrzenie w półmroku, gęstniejącym zwłaszcza przy krzewach i pod drzewami.

– Jesteś, Chawo? – odezwał się niepewnie.

Usłyszał ciche: „Tutaj”. I wówczas, na tle czarnych gałęzi jakiegoś krzewu, zobaczył jej jasną twarz. Podeszedł do niej, speszony swoim rozdygotanym sercem, które ona zdawała się słyszeć. Ubrana w ciemną sukienkę z szerokimi rękawami i koronkowym kołnierzykiem, siedziała na pniu zwałonego drzewa.

– Jestem tu od prawie godziny, bo już nie mogłam wytrzymać czekania w domu. A noc taka ciepła. I komarów jakoś nie ma. Usiądź obok – rzekła z uśmiechem i nieco się przesunęła.

– W dworku już dawno spali. Gdybym wiedział, że przyjdiesz wcześniej...

– I tak nie zatrzymamy czasu – przerwała mu łagodnie. – Zdamy się pożegnać.

Parę chwil milczeli. W zadumie gładziła opuszkami palców gałązkę piołunu, którą trzymała na kolanach.

– To odjeżdżasz zaraz po śniadaniu? – zapytała.

– Tak. Moje rzeczy już spakowane. Do dziesiątej muszę zajechać na kolej. Ty jeszcze tu będziesz kilka dni? Do kiedy?

– Mówiłam ci już, że jadę za tydzień. Ale chcę pojechać wcześniej, może nawet jutro. Nie będę mogła patrzeć na te łąki i lasy, kiedy już cię tu nie będzie. Wolę być w domu.

– Ile bym dał, Chawo, żeby tak nam przedłużono te nasze dni...

Z jakimś ciepłym, głęboko spokojnym wyrazem połyskliwych oczu popatrzyła w gwiazdy, które wolno gasły, zalewane łagodnym światłem brzasku.

– Wujek Chaim mówi – powiedziała – że wszystko co na tym świecie dobre prędko mija, bo dobry Bóg wszystko to po prostu ze świata wyławia, żeby ochronić przed złem i zachować już na zawsze dla świata przyszłego. A te nasze tutaj dni były naprawdę dobre. Będą zachowane w Przyszłym Świecie i będą na nas czekały. Zobaczysz.

Gałązka piołunu, ogrzana i poruszana w jej jasnych palcach, wydzielała przyjemny zapach, który powoli rozplywał się w nieruchomym, cichym powietrzu. Delikatnie przykrył te palce swoją dłonią.

– Kiedy się znowu spotkamy? – zapytał smutnie.

– Na razie piszmy do siebie.

– Za parę tygodni mógłbym cię odwiedzić w Wilnie. Co o tym myślisz?

– Na razie piszmy – powtórzyła spokojnie – Z czasem zobaczymy wyraźniej, jak bardzo ten sierpień był dla nas ważny. Rozumiesz... Teraz wiemy, że to co nas łączy jest prawdziwe i ważne. Ale myślę sobie, że warto poczekać, żeby się dowiedzieć, jak bardzo jest prawdziwe i ważne. Rozumiesz... Chodzi o to – jak bardzo. Czas i oddalenie to nam pokażą.

– Wiesz, Chawo... Chciałbym ci jeszcze o czymś powiedzieć. Wiele się nad tym ostatnio zastanawiałem...

– Nad czym? – patrzyła na niego z uspokajającym, ciepłym uśmiechem, jak gdyby już wiedząc, co miał na myśli.

– Przecież jeśli naprawdę zechcemy żyć razem, to jedno z nas porzuci swoją rodzinę, tradycję... – rzekł.

– Czemu mówisz o jakimś porzuceniu? Od razu opuściłabym dla ciebie rodzinny dom. Ale z samą rodziną i z tradycją nigdy bym nie umiała zerwać. Żądałbyś tego ode mnie? Przeszkadzałyby ci moja rodzina albo tradycja? Jestem pewna, że nie. Czym byłby księżyc, gdyby mu odebrano jego blask?

Ponownie umilkli... Tymczasem robiło się coraz jaśniej i gasło coraz więcej gwiazd. Wstali i, trzymając się za ręce, wolno poszli trawiastym grzbieciem niedużego wału, który wyznaczał granicę między lasem a łąką. Resztki mroku wytrwale strzegły lasu i gęstniały przy ziemi, oplatając pnie drzew i łodyżki ziół. Wszystko było znieruchomiałe i pogrążone w całkowitej ciszy. Wzrok daremnie szukał jakiejś chwiejącej się gałązki czy choćby jednego

drżącego liścia. Jaśniejąca na wschodzie luna, którą widzieli przed sobą, również jakby zamarła we wszystkich swoich purpurowych pasemkach i złotawo sinych, zygzakowatych obłokach, rozciągniętych tuż nad horyzontem.

– Spójrz, Chawo, jak spokojnie. Można by pomyśleć, że cały ten świt znalazł się poza czasem.

– Opowiadałam ci już o dziadku Mosze, prawda?

Marek z uśmiechem wyrecytował:

– Ma prawie dziewięćdziesiąt lat, brodę miękką jak aksamit, a ciebie kocha najbardziej z wnucząt i wciąż nie umie zrozumieć, dlaczego nie urodziłaś się chłopcem.

– Właśnie. Ale nie mówiłam ci o jego dziwnym śnie. Wyobraź sobie, że dziadkowi Mosze śni się koniec świata.

– Koniec świata?

– Od ostatniej jesieni, co parę nocy, dręczy go jednakowy sen. Dziadek ze łzami w oczach opowiada ciągle to samo: widział płonący świat. Płonęły domy i synagogi, ulice i drzewa. Spalał się nawet księżyc i płonęło niebo, które krwawo roziskrzonymi płatami spadało niby dach zapalonego namiotu. A przerażeni ludzie biegali między wirującymi słupami ognia, nie znajdując nigdzie i znikąd ratunku, bo sam Bóg ukrył się za grubą zasłoną nieobecności, jakby wcale Go nie było... I wiesz, w tym wszystkim najbardziej porusza mnie nie ta pełna grozy treść, ale łzy, te wielkie łzy ciekące po pomarszczonej twarzy i wsiąkające w białą brodę. A nigdy przedtem nie widziałam u dziadka Mosze takich łez. Nieraz był mocno wzruszony, ale tak nie płakał. Niektórzy mówią, że nawiedził go duch Najwyższego. Jedni poważnie, drudzy z drwiną.

– Twój dziadek jest bardzo stary.

– Chcesz powiedzieć, że zaczyna trochę dziwaczeć?

– Nie. Ale może po prostu przeczuwa swoje odejście. W moich stronach czasem tak się tłumaczy podobne sny starych ludzi.

Wął się skończył i doszli do drogi. Rozległy teren przed nimi obniżał się łagodnie, a droga przypominała jasnoszarą rzeczkę, spokojnie spływającą ku dalekim, ciemnym zarysom wsi.

– Widzisz tamten przydrożny kamień? – wskazała piólnem.

– Przy drugim zakręcie?

– Tak. Tam się pożegnamy – powiedziała.

Wskazany granitowy głaz podobny był do olbrzymiej pięści. Zatrzymali się obok niego. Przez chwilę stali nieruchomo, zwróceniem przodem ku sobie. Po raz pierwszy łagodnie powiało i długa sukienka Chawy lekko zafalowała. Delikatnym ruchem ujął jej puszyste włosy z tyłu głowy, pocałował ją

w opuszczone powieki i w usta, a potem mocno przycisnął do siebie. Czując bliskość jej ciała i zapach włosów, bezwiednie znalazł się na granicy zapomnienia i zaczął ze wzrastającą namiętnością całować ją po twarzy, szyi, ramionach. Ale ona w jakiś łagodny sposób zdołała go odepchnąć. Wciąż tylko trzymał jej jasną dłoń.

– Zobaczymy się jeszcze, Chawo? Mam teraz takie jakieś mroczne uczucie...

– Czemu? Czy sprawa naszych serc jest już załatwiona? A nie załatwiona sprawa, jak mówi wujek Chaim, jest jak człowiek bez imienia. Na pewno się jeszcze kiedyś zobaczymy. Wierzysz mi?

– Dziękuję ci za ten sierpień, za wszystko. Nie wiem, jak bez ciebie wytrzymam...

– Wytrzymasz – uspokajała go swoim ciepłym uśmiechem. – Będziesz czekać tak jak ja, pisać listy i jakoś wszystko zleci. Co? Dalej wątpisz, czy się znowu spotkamy? Uwierz mi i księżycowi. Ale już czas. Idź... – rzekła cichutko.

Jeszcze przyłgnął wargami do jej palców, zanim wysunęły mu się z rąk. Odwrócił się i odszedł. Lecz po niespełna minucie obejrzał się za siebie. Nadal stała przy kamieniu, nieporuszona i samotna. Wydawała się ośrodkiem całego spokoju i wyciszenia tych porannych łąk, przeciętych drogą i ograniczonych ciemną linią lasu.

Był wtedy rok 1939. Nie wiedzieli, że historia, zwłaszcza ta najbardziej przerażająca, bo tworzona przez szaleńców, nie liczy się z ludzkimi sercami.

Chawa razem z całą rodziną w 1941 roku znalazła się w getcie i razem z całą rodziną została zamordowana w akcji likwidacyjnej. Marek przetrwał wojnę, a paradoksalnie pomogła mu w tym gruźlica, bez przerwy się w nim żarząca.

Po wojnie uporządkował swoje życie. Wyleczył się, ożenił i został skromnym urzędnikiem w ładnym miasteczku niedaleko Warszawy. Czasami, gdy był znużony codziennością, sięgał pamięcią pod pokłady lat, do niezniszczalnej niszy, gdzie trwał tamten spokojny świt, kiedy ostatni raz spotkał się z Chawą. I doprawdy... Ilekroć przypominał sobie jej, pełne spokoju i łagodnego uśmiechu, oczy, gdy zapytała: „Wierzysz mi?”, tylekroć nie potrafił zrozumieć, że było to spotkanie ostatnie.

A księżyc? Czy nie odnawia się nieustannie?

Wędrowiec i oliwka

Pewien wędrowiec – znużony drogą i słońcem – usiadł pod starą oliwką niedaleko wielkiego jeziora.

Ona łagodnie zaszumiała w swoich listkach, odzywając się:

– Witaj! Zapewne masz daleką drogę za sobą?
– Witaj, Oliwko! Masz rację. – odparł z uśmiechem. – Jeszcze dzisiejszego ranka byłem daleko stąd.

Po chwili oliwka znowu zaszumiała łagodnie:

– Kocham cię. Czy wiesz, że właśnie na ciebie czekam tu od czterystu sześćdziesięciu trzech lat?

– A skąd wiesz, że jestem tym, na którego czekasz? – zapytał.

– Bo ty jako jedyny zrozumiałeś, co do ciebie mówię.

